

Wiadomości Polskie

POLITYCZNE I LITERACKIE • TYGODNIK • THE POLISH NEWS

PAWEŁ WILGA

ZADUSZKI KURZEMBINY

Opowiadanie

Na jesieni 1939 r. Wilno nie było miłym miastem. Liście na Górze Zamkowej nie szumiały i nie zżółkły w październiku, jak zwykłej jesieni, lecz zeszły wcześniej i poszarzały. Na ul. Mickiewicza nie można było widzieć weza bezkoszki spacerowiczów, ciągnących od białej Katedry pod górę, w stronę Wilji, koło Strahlów — czerwonego i zielonego — o złotej godzinie wieczoru. Wilno tego czasu było miastem smutnym i szarem. Na brudnych — oddawna nieoczyszczonych — ulicach, nie kończące się oświetlone przed sklepami czekały na krótki moment otwarcia sklepu, aby dostać kawałek chleba lub trochę jarzyn. Tłumy zapobiegliwych stały przed bankami; przemianowując to co było dla nich dotąd symbolem pewności i zabezpieczenia na przyszłość, na nowe, obywatelstwo, gwarantujące spokojne jutro, zmieniali skretnie złote na ruble, ruble na litwy, litwy na ruble i znowu ruble na litwy — podobnie do owych podróżnych, coraz to zmieniających przygodnych przyjaciół w czasie długiej drogi. Wśród przeważającego się przez ul. Mickiewicza bezbarwnego tłumy jedna tylko twarz mieniła się żywym kolorem, nad twarzą umosił się co chwila, grzeździe uchyłany, czarny melnik, i laska ze srebrną gólką błyskała w pewnej dłoni. Były to insygnia dyplomaty litewskiego, urzędującego w hotelu George'a; słyż za nim pełne nadziei i niepokoju spojrzenia wszystkich tych, dla których Kowno, Ryga, Stockholm, Amsterdam i Paryż były miastami milszymi dziś niż Wilno.

Pomyślałem z prawdziwym podziwem o przedsiębiorczych ludzkich, gdy — w tych okropnych czasach, kiedy, zdawało się, nikt o podobnych rzeczach nie myślał — otworzono pewnego wieczora w podziemiach przeciw czerwonego Strahla elegancką wianitarnię, gdzie za trzy ruble można było dostać lampkę miodu i dwa pierniki. Obok lokalu tego — który wydawał mi się w bolszewickim Wilnie przybytkiem wielkiego luksusu — przechodziłem przez długi czas z moim postanowieniem, iż nie ulegnę pokusie odwiedzania go, myśląc jednocześnie, że ochotę na ten miód i pierniki — które wyrastały wówczas w mojej wyobraźni na symbol lepszych, przeszłych i przyszłych czasów — mam również wielką jak niezrozumiałą, ale gdy — w tym miesiącu październiku — już po raz drugi w tym miesiącu gruchnęła wieść, że bolszewicy wynoszą się z Wilna, ustępując miejsca Litwinom (co — jak każda w tamtej atmosferze odmiana — napawało optymizmem), w przystępnie dobrego nastroju powiedziałem sobie, że przecież w tych łagodziących okolicznościach można pozwolić sobie na wydanie trzech rubli na miód i pierniki, i wybrałem się do wianitarni.

Był to chłodny wieczór przed dniem Wszystkich Świętych; pomimo mgły i deszczu echnodni i jędzinia były pełne ludzi. Gdy zszedłem po stronach schodkach do zadymionej i dusznej sali, przez dłuższą chwilę trudno mi było znaleźć miejsca przy stole, przez zapocone od ciepła okulary; — stanąłem więc w wejściu, ociekającym szklą i nie wiedząc co się wkoło mnie dzieje. W momencie tym, kiedy czynność wszystkich zmysłów miałam skoncentrowaną w słuchu — nagle usłyszałem tuż obok siebie, wypowiedziane tym głosem i akcentem, które mogą wyjść tylko z ust francuskich:

— Mais je t'en prie! — blaskiem mi — w szarości moich ówczesnych perspektyw — jak trzy jaskrawe kolory, które ze ślepoty powracają wzrok do życia. Wydało mi się też w chwili, że spadła mi z głowy gniotąca jak straszliwy ciężar spiczasta szara czapka — ni to kupa cewki, ni to kapelusze czarnokasztanowa — symbol Wschodu i barbarzyństwa, którą od tyłu tygodni czułem nad sobą, patrząc na przechodzących ulicami Wilna wojsko ludzi bez twarzy, śmiardzących dziegieciem, w takichże spiczastych czapkach. (Dziś wierzę — irracjonalnie — iż to ten moment właśnie zdecydował, że się z tamtego Wilna wydałem i wróciłem do Europy).

Usłyszane przeze mnie słowa „je t'en prie!“ powiedziała pani Geneviève Oldakowska do swego męża, Stefana Oldakowskiego. Z jakąż radością rzuciłem się w ich stronę, gdy spostrzegłem przy stoliku, na którym prócz miodu i pierników, widniała wycięta z jakiegoś atlasu geograficznego niewielka mapa Europy, kraciaste palto pani Oldakowskiej, znane mi ze wspólnych podróży z Oldakowskimi do Chartres i do Amiens. Wykrzyki powitalne nie miały jasności, tyle w nich było pomieszania — dopiero potem dowiedziałem się, że Oldakowsky, który stał mieszkał w Paryżu, w końcu sierpnia przyjechał do Polski, wówczas gdy syn ich, student uniwersytetu, powoli został do wojska i wiadomo było, że to już nie na ćwiczenia, lecz prosto na wojnę.

Pani Oldakowska nie dała zrazu przejść do słowa ani Oldakowskiemu, ani mnie. Miesząc francuski i polski, a także chronologię, — bo opowiadała żywo i w obawie, żeby mały czegoś ciekawego za wzięciem nie zdradził, — opisała szczegółowo przygody swoje i męża między Warszawą i Wilnem — przygody nadzwyczajne, ale których teraz nie powtórzę, bo — zbyt uciążliwym spotkaniem z Oldakowskimi — niebardzo uważałem na to co Oldakowska mówiła. Zainteresowałem się opowiadaniem, kiedy Oldakowska, dojeżdżając do Wilna (na mapie), ruszyła dalej.

— Trzeba przeskoczyć do Kowna, — pokazywała, — i to jest najtrudniejsze, bo i bolszewicy nie wypuszczają i Litwini nie pozwalają wejść. Potem już łatwiej, gdyż chargé d'affaires francuski w Kownie jest mój cousin-germain i wizy zatłowi się szybko, potem Ryga, samolotem do Stockholmu, Malmo, Amsterdam, Bruksella — i Paryż, to znaczy dom.

Pani Oldakowska była z pochodzenia Francuzką — i to typową Francuzką, pełną energii, życia i elegancji. Kiedy przeskoczyła, palcem na mapie, z Belgii do Francji, co oznaczało sześciomiesięczne przybycie ostatni etap przysięgi podróży, sygnęła z oczu blaskiem wszystkich neonów Paryża. Z podziwem pomyślałem, że ta niemiłoda, już chyba pięćdziesięcioletnia osoba i eudziennika,

tak wspaniale znosi trud ciężkiej sytuacji, w jaką ją nagle, w obcym kraju, uwikłał los. Małżonkowie robili wrażenie osób o temperatach krańcowo różnych; pan Oldakowski reagował ze spokojem iście olimpijskim na wybuchowe usposobienie żony. Siwy, — o śladach posagowej piękności i młodym spokojnym uśmiechu, chroniony pancerzem wieloletniej praktyki od poddawania się łatwym entuzjazmowi małżonki, — powtarzał niewzruszenie, śledząc wszakże z wielką uwagą podróże, odbywane na mapie przez małżonkę:

— Qui vivra — verra.

Zapytałem pana Oldakowskiego, jak sobie wyobraża przedostanie się przez granicę litewską i dotarcie do Kowna, bo skoro te części podróży uznaliśmy za najtrudniejszą, od jej przedyskutowania należało zacząć. Mówiąc to, myślałem, że wypadnie mi za chwilę błysnąć wspaniałym atutem, jaki mogłem rzucić do wspólnej puli, — w wypadku, gdybyśmy mieli kontynuować podróż razem, — mianowicie wyjątkiem, iż posiadam litewską wizę wjazdową. Pamiętam dobrze, że w tamtym czasie, kiedyś byliśmy bezpośrednio pod obuhami wojny i tylko przez nią oteżeni, wartości tak zdawało się niewątpliwie, jak portfel wypchany pieniędzmi, samochód lub cenny bagaż — ustępowały, na pewnym odcinku czasu i przestępowały, okolicznościom zupełnie przypadkowym, jak wiza szwedzka, przyjaciół w Rydze lub znajomość języka estońskiego. W rezultacie — ciotka w Stokholmie mogła się równać wizie litewskiej, ale nie było za nią ceny w żadnej wartości konwencjonalnej, umieszczonej po tej stronie granicy litewsko-polskiej. Byliśmy w owym subiektywnym ujęciu skali i wartości podobni do dzikusów, którzy za świecidełko znową egzotykiem turyście plasty miodu, dzbany ze śmietaną i skóry rzadkich zwierząt.

Pani Oldakowski też uważał, iż trzeba zacząć od omówienia spraw najtrudniejszych:

— Ty już się martwisz, na jakim dworcu wysiadzisz w Paryżu, a jeszcze z Wilna nie wyjechałaś.

Państwo Oldakowsky mieszały francuski i polski (którym pani Oldakowska władała biegle, ale z zabawnym akcentem i z okropnymi błędami) w ten sposób, że rzeczy przyjemne pan Oldakowski mówił po francusku, a pani po polsku, rzeczy zaś nieprzyjemne — naodwrot.

— Mais je t'en prie alors — odpowiadała pani Oldakowska, czyniąc szeroki gest ręką, który miał oznaczać, iż oddaje całkowicie głos mężowi. — Stefan skorzysta z tej okazji, żeby odpowiedzieć swoją romantyczną przygodą, której się dowiedziałem dopiero dziś rano, po dwudziestu pięciu latach małżeństwa.

— To jest zupełnie prozaiczna historia — zaczął pan Oldakowski — Poprostu w Roztopach, małej wiosce pod Zawiasami na samej granicy polsko-litewskiej, mam znajomą — to znaczy, sądzę, że tam jeszcze mieszka, chociaż nie widziałem jej od lat przeszło dwadzieścia pięć — poprawił się. — O ile mi wiadomo, jest nauczycielką ludową, nazywa się Kurzembina. Za moich kawalerskich czasów była to bardzo przystojna i zamożna panna, jedna z pierwszych partji w okolicy. Bywałam razem na różnych balach, mieliśmy wspólnych znajomych. Trochęśmy flirtowali — pan Oldakowski poglądził doniażywa, falującą czupryną, i przez oczy przysięgnął mi uśmiech z tamtego czasu, teraz trochę jakby niewprawny i nie w porę ujawniony. — Potem wyjechałem zagranicę, na studia i już po ożenieniu się, dowiedziałem się, że panna Helena, Elka, jak ją nazywali, ciężko chorowała po moim wyjeździe, wpadła w melancholię, wreszcie wyszła zamarła z kowala, prostego chłopca, tego właśnie Kurzemby — który zresztą wkrótce po ślubie zabił się spadzając po pijanemu z konia. Potem doszły mnie wieści, że w kuratorjum wileńskim były jakieś o nią awantury, że dzieciom w szkole zaszcześciła poglądy komunistyczne, czy coś w tym rodzaju, w co zresztą nie wierzę, bo to była panna z dobrego domu i nigdy nie podobnego jej się nie śniło.

— Sił avait un flirt avec elle, — nie wytrzymała pani Oldakowska, — to teraz on może ją prosić, żeby nam dała człowieka, któryby nas przeprowadził przez granicę, voilà!

— Czy pan zna dokładny adres pani Kurzembiny, wiedziałby pan jak do niej trafić? — zapytałem.

— O tak, — odrzekł pan Oldakowski, — wieś nazywa się Roztopy, kilka mil od Zawias, we wszyzkie są ja napewno znają. — Uznałem, że teraz pora pochwalić się swoją wizą.

— Bo ja, proszę państwa, mam wizę litewską, — rzekłem naturalnym głosem, — a zatem chodzi mi tylko o przemknięcie się przez bolszewicką stronę. Gdy będę już na Litwie, mogłbym państwu tam wyrobić wizę litewską, lub prosić leżuzna pani, chargé d'affaires francuskiego, o przyjęcie państwu z pomocą.

— Niech pan mówi ciszej, — zniżyła głos Oldakowska, — mam nadzieję, że pan nie prosił bolszewików o wizę wjazdową. Nie tylko nie dają wizy, ale zamykają do kozy. (Oldakowska lubiła i znała takie zwroty, jak „zamykać do kozy“). Ja wizę litewską też mam, — dodała, — ale jutro upływa termin jej ważności, a nie chciano mi jej przedłużyć. Jak kto nie wyzska w swoim czasie — to przepado. Stefanowi obiecałem, że mu też może dać, ale dopiero gdy przyjdzie zezwolenie z Kowna. Może to być jutro, a może dopiero za parę dni, nim więc przyjdzie wiza dla Stefana — moja upływa.

Zapanowała chwila milczenia, w czasie której pani Oldakowska wyjęła czerwona szminkę i zaczęła z wielką uwagą malować usta.

— Ona mówi, że to jej pomaga do myślenia — powiedział do mnie Oldakowski. — Ależ naturalnie, — odrzekła Oldakowska, wyruszywszy wspaniale serce na górnej wardze, — bo gdy maluje usta, nie może mówić, a wtedy dopiero spokojnie myśli!

— I żebyś wiedział, Stefan, że już wy-myslałam — przeszła na francuski. — Ecoutez, — zaczęła, — ja z panem — wskazała na mnie — pojedziemy do Zawias. Jutro

rano. Znajdziemy te Roztopy czy Roztopy i swoją Kurzembine. Wszystko powiemu do tej Kurzembiny. Będę dla niej bardzo miła, jak chceć może powiedzieć, że ją często wspominałam. Mais je t'en prie, je rigole — przerwała, widząc, że pan Stefan robi rozpaczliwe ruchy ręką. — Wszystkie jej powiemy, niech nam da człowieka, który nas przeprowadzi na litewską stronę. Tymczasem jutro rano musisz, tak, Stefan, musisz, załatwić swoją wizę litewską. Wieczorem przyjeżdżasz do Roztopy — i w nocy przejeżdżasz granicę. Pojutrze zobaczę w Kownie mon cousin-germain...

— ...a popołutrze będziesz piła kawę w Café de la Paix — przerwał Oldakowski i zwrócił się do mnie: — No cóż pan o tem myśli, może to i dobry projekt?

Odpowiedziałem, że myślę, iż projekt jest świetny.

— Dobrze, że się pan tu z nami spotkał — dodał przez uprzejmość, a może szczerze Oldakowski. — Bez pana ten plan byłby niemożliwy, bo żonie samej trudno byłoby jechać do Roztopów i wszystko wyjaśnić Helenie.

Bardzo ożywieni i pełni najlepszych nadziei, zapytałem ją jeszcze po lampce miodu. Wznieśliśmy szklanki za pomyślny nasz jutrzejszy wyprawy. Podnosząc szklankę, zatrzymałem ją na chwilę przy oczach. Przez żółtawy napój mroczna sala wydawała się pełna słońca, a zalamaną szklką wyolbrzymiła ją w fantastyczny wzgórku i zapytałem, jak daleko jeszcze do Roztop, zakutana w chusty baba zakwilila śpiewnie:

— Tak to i Roztopy.

Zagadnąłem o nauczycielkę Kurzembine. Baba kiwnęła głową, wzięła mnie za rękę i poprowadziła na pagórek, skąd widać było rozłożystą chatę z wysokim konimem — jak zamek z basztą — na strómem, zakrzytym z jednej strony lasem, wzgórzem.

— To szkoła a i tu żyje pani Kurzembina. — Par exemple, — powiedziała pani Oldakowska, gdyśmy poszli bliżej do domostwa, wokół którego przechadzały się kury, — to jest zwykła chłopiska chatka, jak ona może tu mieszkać?

Chatka zdawała się nie mieć wejścia.

— Ona jest pewnie smukła i wchodzi do domu konimem — rzekła Oldakowska. — Znalazłszy wreszcie drzwi, które miesiąc się w przybudówce jeszcze brudniej niż sama chatka. Na stukanie nie było odpowiedzi. Dopiero po okropnym łomotaniu do drzwi i okien — w co Oldakowska włożyła wiele pasji — na próg wyszedł zaspary parobek. — Czy tu mieszka pani Kurzembina? — zapytałem.

— Pani pojechała do Zawias; i nie wróci przed wieczorem — odpowiedział chłop. — Wyjaśniłem, że jesteśmy przyjaciółmi pani Kurzembiny i że chcemy koniecznie ją zobaczyć — możemy więc można było zająć wewnątrz domu, gdyż przychodzimy z dalekiej drogi, zmarznęci i głodni.

Chłop ociągał się trochę ale po chwili — wśród gładkani kur, ciągle płaczących się pod nogami — wprowadził nas poprzez małą sien, z której wiodła drabina na stery i gdzie zagazeczenie kur było największe, do wnętrza izby. — Zrazu nie było można być dostrzeć, bo zaduch, jaki buchał ku nam ze środka chaty, stłumił na chwilę działalność wszystkich zmysłów. — Kiedy przyszedłem do panowania nad wzrokiem, ujrzałem Oldakowską, z flakonem soli trzeźwiącej przy nosie, przerażoną.

— Mais c'est affreux, c'est affreux, — powtarzała, — jak ta kobieta może tu żyć! — Lba, która wyłoniła się z oparów, była wielka: miała gładki klepski i obszerną kuchnię ze szpazastym oknem w rogu. Pod małym oknem stał prosty, drewniany stół i ławy, na honorowym miejscu widniała ładna malowana skrzynia, obok komoda z jakimiś ozdobnymi przedmiotami. W dalszej części izby widniała wieszakowa w polmroku niewymownie łożo, ginaąc w zwalch pierzyn. Niebardzo tam państwem i nie podchodziłem bliżej, gdyż od tamtej właśnie strony płynęły najintensywniejsze fale tej powie.

RYSZARD KIERSNOWSKI

Prośba

Przyszedł w nocy. Wyciągnął do mnie ręce. „Wiesz — powiedział. — Nie spotkamy się więcej.”

Sił zabrakło. Nie dotrzymałem kroku. Zamęczyli. Zakopali głęboko.

Jakto? Kiedy? Przecież wszyscy mówili... „O! prosto. Kolba płuca odbiła.”

Życie ludzkie nie kosztuje tam drogo. Mimo wszystko...nie wydamem miłogo.

Teraz spokój. Niema żadnych kłopotów. Tylko żona... Ciągle czeka powrotu.

Wieczorami siada z synem i długo Opowiada jedną bajkę za drugą.

Ze buciaki, jak wróce, kupi nowe, Ze przywozoc obiecany mi rower.

Cóż ja zrobić z ukochanym tym bakiem? Chce mieć rower. Na dwóch kołkach. I z dzwonkiem.

...Nie miej za złe, że cis en twój przerywan,

Lecz la sprawa wciąż na ziemię mnie wrywa,

Błaga za mną syna mego oczęła — Czy też papo o rowerze pamięta?

Cóż poradzę, zakopany głęboko, Zagubiony w stu mgławicach i mroku?

Więc jak wrócić...chciałbym prosić... pamiętaj,

Kup ten rower... Bo to dla mnie rzecz święta.

Żonie powiedz, że ja proszę zdaleka, Niech mi więcej nie wygląda, nie czeka.

I niech grobu nie szuka. Grób przekleły! Chcę pozostać w jej pamięci...uśmiechnięty.

To już wszystko. Ja odchodzę. Nic nie mów,

I nie pytaj dokąd idę, ku c z e m u.

Poza bólem już jestem, poza grzechem — Ale syn mój mnie zbawi swym uśmiechem.”

RYSZARD KIERSNOWSKI.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

Grób Tamerlana

Człowiek jest dobry, mądry, spokojny, zbrojny w swój rozum, w myśl niepodległa, głodu, powietrza, ognia i wojny nie chce i stawia cęglę za cęglą.

Jakże są piękne stare mozaiki na tym grobowcu władcy i pana... Z wieżami i tęczkami, z prawdy i z bajki oto wstałem w grób Tamerlana.

Podąż przez Persję konie kirgiskie, wali się w grzyby pałac i meczet. Jakież dalekie, ach! jakież bliższe — ogniem i mieczem... gnieniem i mieczem...

Jakże jest zasięg strzały mongolskiej? Bagdad straszaka, w Moskwę uderzą, przez Ukrainę dojdą do Polski...

ogniem i mieczem, luną i rzezią.

Potem marmurem czarnym grobowca pyszni się władca, pyszni się sprawca. Kroczy historia, coraz surowsza. Życie się sprawdza. Śmierć się nie sprawdza.

Groby murszeja, giną religie, armie topnieją, mra ich wodzowie, krew do podgłebia wiśiaka i stygnie — drzewo porasta nowem listowiem!

Człowiek jest dobry, mądry, spokojny, pola chce orać, pięknie i żywnie, głodu, powietrza, ognia i wojny nie chce i w siebie wierzy: w Ojczyznę.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI.

trzej zapory, która nas poraziła w wejściu do izby.

Usiedliśmy dość ponuro na ławach, parobek gdzieś na chwilę się zawieszył. Pani Oldakowska stukala palcami w szklaną kulę, wypełnioną wodą, — z wyobrażeniem złotej rybki i dziwnych roślin wewnątrz, — która stała na komodzie. Zauważyłem, że niema w izbie świętych obrazów i żadnych dewocjonaljów. Wszła dziewczyna, najwidoczniej przyprowadzona tu przez parobka, z zapytaniem czy nie jesteśmy głodni. Odpowiedziałem, że bardzo i że prosimy o trochę ciepłej strawy. Dziewczyna zakrztęła się koło paleniska. Siedzieliśmy w milczeniu, rzeczywiście ogromnie głodni i myśląc w tej chwili już tylko o jedzeniu, tem bardziej, że dziewczyna poczęła tuć jaja, co zwiastowało, iż na stole pojawi się jajecznica. W półmroku już, bo i za oknami powoli ciemniało, ozwał się nagle od strony kuchni piskliwy głos — ni to ludzki ni to kurzy. Dziewczyna coś bąknęła w tę stronę, głos zabrzmił znowu, najwyraźniej gdzieś ponad nami, pod powłoką. Jednocześnie ujrzelśmy, że na piecu, wysoko u stropu, rusza się coś i przeciąga.

— Chodźże tu, Zonia — krzyknęła dziewczyna, i za chwilę mały, może sześciolatek płowłowy chłopak zsunął się z pieca, drapiąc się w głowę.

— Qu'est-ce qu'il faisait là-dessus? — zwróciła się do mnie pani Oldakowska, — cette Kurzembina l'a fait rôtir évidemment!

Powiedziałem, że pewnie spał — i że go nam chyba na półmisku nie podadzą.

Tymczasem, w zmrroku już zupełnym, wszedł znowu parobek. Dziewczyna zapytała, czy wyszły konie do Zawias po panią. Parobek odpowiedział, że tak, i dodał, że bierze mroź. Przez krótki czas szeptał coś przy kuchni. Pani Oldakowska zapytała, czy to tak ciągle będzie ciemno. Ale właśnie w chwilę potem światło błysnęło w izbie, i — w tym blasku nagłym i niepewnym — ujrzelśmy chłopaka — tego samego, który poprzednio spał na piecu — stojącego w nieruchomej pozycji z podniesionym ramieniem — dzierżąc w ręku wielką płonącą żagiew. Migotliwe światło kładło tańczące cienie na ścianach i klepskiu, dzieciak wydawał się raz mały raz olbrzymi, bury kot wyłaził z pierzyn i przemierzył izbę fantastycznym krokiem. Siedzieliśmy w zupełnym milczeniu. Chciałem powiedzieć coś o tym dziwnym widoku i tym nastroju, ale bałem się, że głos który mi z gardła wyjdzie, coś w izbie zmieni i poruszy; milczałem więc i patrzyłem w płowe ognie, którymi coraz to jarzyły się oczy kota.

Wkrótce dziewczyna przyniosła miski z jajecznicą, chleb, masło i kubki z herbatą.

— Tout-de-même elle prend du thé, — mrugnęła pani Oldakowska, — ciekawa jestem jak ona wygląda, może ten chłopak to jej syn?

Zapytałem czy pani Kurzembina ma dzieci. — O, pani ma dużo dzieci, — powiedziała dziewczyna, — siedemnaścioro było, ale w zeszłym roku jedno umarło. Ale to nie swoje, to szkolne dzieci, — dodała, widać moje zdziwienie, — swojego to nie ma.

Jedzenie smakowało nam znakomicie, a zastrzeżenia, jakie milcząc zwiłaliśmy co do czystości talerzów, nie zmniejszyły apetytu. Również okazało się, że i do powietrza można przywyknąć, bo zaduch nie wydawał się już taki dokuczliwy jak z początku. Chłopak stał wciąż nieruchomo z płonącym luzycem. Kiedy drzewo się kończyło, dziewczyna zapalała nowe i wreczała je bez słowa małemu. Nie wiem jak długo to trwało, bo czas płynął innym trybem w tem rdzawym świetle i nie potrafię określić, ile kwadransów czy godzin przesyłał się przez izbę Kurzembiny w ów zaduszny wieczór. Pamiętam, że w końcu luzycy zgasio, mała poswiata padała od tańca i widać było, że i kot mrucał w jakimś ciemnym kącie, czujny i obcy jak zegar.

Dopiero kiedy zbudził mnie hałas za oknami, pomyślałem, że przecież drzemałem, i oto budzę się ze snu. Dziewczyna wyszła do sieni. Oldakowska zawołała głośno: — Qu'est-ce qui se passe? Je n'ai pas dormie!

Powiedziałem więc sobie w myśli, że też z pewnością spała. Okazało się, iż konie wróciły z Zawias — ale bez Kurzembiny. Chłop twierdził, że czekał z koniami w zwykłym miejscu; przeszło godzinę po zmrroku widać pani nie było, napewno więc została w miasteczku i już dziś nie wróci. Parobek wymyślał chłopcu, że za krótko czekał, dziewczyna mówiła, że Jezusienka, jaka pani będzie ła, jak wróci piechota, a chłop i wszystkie dzieci w szkole jutro dostaną łanie. Pomyślałem, że i pan Oldakowski, który po zatłwieniu sprawy wizy w Wilnie miał zjawić się w Roztopach tego wieczora lub najazutrz rano, dziś już nie przyjedzie, bo była siódma wieczorem — za późno więc iść pieszko z miasteczka. Pani Oldakowska była nieco zaniepokojona nieobecnością Kurzembiny, perspektywa spędzenia nocy na twardych ławach w tej izbie przerażała ją ogromnie. Parobek i dziewczyna, którzy coraz to coś między sobą szeptałi, patrzyli też na nas trochę spodełba. Postanowiliśmy czekać tak do ósmej, a potem poprosić o kooce czy pierzyny, ułożyć się do snu na ławach i tak doczekać jutra.

Było blisko ósmej, kiedy usłyszałem łomotanie do okien i ochrypły krzyk. — Wy psiewskie jedne! — ryczał gruby głos za oknem — zabiję chłopca, czekać mu się nie chciało! Won dziecko ze szkoły wyrzucę!!

Jednocześnie dziewczyna rzuciła się do sieni, parobek był już na podwórzu, a mały chłopak, który drzemał przy palenisku, wdrapał się jak małpa na piec. Trzasnęły wejściowe drzwi, głos zabrzmił w sieni, straszliwe przekleństwa zbliżyły się do izby. Wreszcie skobel odskooczył z hałasem, i do chaty wyczołpa się gruba, zakutana w burkę postać kobieca o zamasztych ruchach. Jednym z tych zamasztych ruchów ogromna kobieta chwyciła za ucho parobka właśnie w tym momencie, gdy za stołu wyłoniła się naprzeciw niej smukła sylwetka pani Oldakowskiej.

— Kto to jest? — zapytała przybyła kobieta, nie wypuszczając z ręki ucha parobka. — Jestem Oldakowska, — rzekła pani Geneviève, czyniąc krok naprzód, — przyjechałam odwiedzić panią.

Kobieta cofnęła się, nie mogłem w ciemności widzieć jej twarzy, ale głos, którym wyszeptwała: „Zona Stefana?“, wyszedł z ust ścisłych i stęzłego gardła.

— Michał, zapal światło! — Ja jestem Kurzembina — rzekła kobieta do Oldakowskiej. — Czy to Stefan? — rzuciła się spozstrzegając mnie.

Zacząłem wyjaśniać powód naszego odwiedzin. Kurzembina, wciąż w burce i chustkach, stała w środku izby; zaledwie zapłonął knot lampy, chwyciła od parobka światło i podsunęła je pod twarz Oldakowskiej. Wówczas po raz pierwszy zobaczyłem oczy Kurzembiny, które w świetle metalowej tarczy, osłaniającej lampę, błysnęły jak dwa księżycy w pełni, albo jak kocie źrenice w mroku.

— Niech państwo siadają, — rzekła, opanowując się nagle i stawiając lampę na stole, — już widzę, o co wam chodzi, chcecie się pewno dostać na drugą stronę?

Pospieszylem z dalszymi wyjaśnieniami. Dodałem, że pan Oldakowski przyjeżdża najazutrz rano — zapewne już w posiadaniu wizy litewskiej — i że powtórzę tę próbę, którą w jego imieniu, pozwoliliśmy sobie wyrazić. Skoro będziemy w Kownie, dalsza podróż nie będzie już przedstawiała trudności i niezmiernie będziemy wdzięczni pani Kurzembinie za chrześcijańską pomoc w naszym ciężkim położeniu.

— Pewnie, że państwo pomogę, — rzekła Kurzembina, wciąż przyglądając się milczącemu dotąd Oldakowskiemu, — ale o chrześcijaństwo to niech mi pan tam nie mówi. Ja jestem, moi państwo, człowiek pracy i czynu, widzi pan, w jakich ja tu warunkach żyję i haruję przez całe życie; o chrześcijaństwo mi nie mówię lepiej, wasze chrześcijaństwo to ja znam.

Wymieniiliśmy z panią Oldakowską dyskretne spojrzenia. Niebardzo wiedziałem czym sprokocowałem nieprzebytele oświadczenie o chrześcijaństwie, ale zobaczywszy, że ten grunt jest śliski, przeszedłem na tematy praktyczne.

— Czy jest tu jakiś zajazd lub karczma, gdzie możnaby było przenoocować? — zapytałem.

— Jaki tam zajazd, — obruszyła się Kurzembina, — wszystkiego tu kilkanaście chat. Urządzą was jakoś tutaj w szkole. Nie będzie to wygodnie, bo pani pewnie do zbyt-ko przyczepczajona, ale niema na to rady.

— Est-ce que c'est loin d'ici? — zapytała Oldakowska, zapominając najwidoczniej, że spotkała po drodze wieszaczka powiedziała nam, iż szkoła mieści się w tej samej chaicie.

Ale Kurzembina nie zareagowała na zapytanie.

— Pani za Stefanem jak dawno? — zaczęła po chwili rozmowę — Pani nie Polka, Francuzka, co?

Nastąpiła kulawa konwersacja, — kleiła się tylko od zdania do zdania, — w czasie której dziewczyna przyniosła herbatę, chleb i kiełbasę. Kurzembina jadła łapczywie, maczając chleb w herbatce i dzierżąc kiełbasę w dłoni jak buławę. W momencie, gdy utopiła twarz w kubku z herbatą, bulgocząc napojem, Oldakowska powiedziała do mnie półgłosem:

— Regardez comme elle mange, cette espèce de vieille sorcière... Enfin, sans doute c'est une brave femme — dodała po chwili jakby do siebie, trochę zawstydzona swoją niejalnością wobec naszej dziwny gospodyni.

Gdy zakończył się posiłek, ruszyliśmy z ław. Zbudzono brutalnie przez Michała, chłopak zapalił luzycy i — on naczęło ze światłem, Oldakowska i ja za nim, na koniec Kurzembina — ruszyliśmy poprzez sien i wąskie drzwi do małej alkowy, która jak się okazało, była sypialnią Kurzembiny. Wszedłem tam pierwszy, zaraz za chłopcem z luzycem, i na skrzyni przy łożu zauważyłem fotografie pięknego młodego mężczyzny, w sztywnym kołnierzyku i w fantastycznej krawacie. Poznałem falującą czuprynę i uśmiech w oczach, śmiejąc się na tej fotografii i bliższy niż wzorą w czasie rozmowy o „flircie“ z paną Elką. Kurzembina wyprzeżiała nagle Oldakowską, zbliżyła się do skrzyni i kładąc na niej chustkę, zakryła fotografie.

— Tu pani się prześpi — powiedziała. — Ależ to pani pokój i łożko! — zaprotestowała Oldakowska — nigdy nie osmieślę się tego zająć!

— Ja tam taka delikatna nie jestem, — powiedziała z niegrzecznym akcentem Kurzembina, — niegrzebie się dziś w tamtej izbie pod pierzyną. Też dobrze. A pan — zwróciła się do mnie — połóż się na sieniuku w izbie szkolnej.

— Ruszaj — krzyknęła na chłopca i w tej samej chwili, niespodziewanie, wskazując wytwornym, okrągłym ruchem wychodzącego chłopca z luzycem, rzekła do Oldakowskiej: — Avec cette torche dans sa main il a l'air d'un apprenti-sorcier, n'est-ce-pas, Madame?

Spałem jak zabity przez dwanaście godzin. Zbudziło mnie uczucie chłodu — koc zsunął się na ziemię — i odgłosy ożywionej rozmowy w pokoju obok.

— Wiedzielaś przecię, że wszystkie skończone, wiedzielaś, że nie wróce — mówił męski głos, w którym poznałem ze zdziwieniem głos Oldakowskiego.

Potem usłyszałem Kurzembinę — doszedł mnie tylko fragment zdania: — Trudno dzisiaj kłócić się o winę. — Wogóle trudno dziś o tem poważnie mówić, — zabrzmiał znowu głos Oldakowskiego, — moja droga, zapominasz, że od tamtego czasu minęło ćwierć wieku. Jesteśmy starzy ludzie, ja dawno żonaty, ty wdowa...

— Latwo ci powiedzieć: dwadzieścia pięć lat, — słyszałem teraz Kurzembinę lepiej, — dla ciebie ten czas był normalnym okresem dwadzieściu pięciu lat zwykłego, mniej lub więcej szczęśliwego życia, w ciągu którego wiele można przejść i wiele zapomnieć. Dla mnie, pomiedzy naszą ostatnią rozmową sprzed dwadzieściu pięciu lat a tym dniem dzisiaj, kiedy cię znów spotykam i na który tak bardzo czekałam — czas nie płynął, jak zwykle. Trwały to całe wieki — chwile wyszłam zamarzę w kocharę, odwołując



stałam się zupełnie innym człowiekiem, niż byłam, ale to wszystko nie, nie stało się nic od chwili, gdy straciłam ciebie. Ale wiedziałam, że cię jeszcze spotkam i marzyłam o tem, żeby nastąpiło to w takich okolicznościach jak dziś...

— Heleno, opamiętaj się, mówisz nieprzytomne rzeczy, wybuchnął Oldakowski, — jest straszliwa wojna, wszyscyśmy w okropnym nieszczęściu, a ty mówisz o tych dawnych sprawach, jakby...

— Nie krzyż, — Kurzembina zniżyła głos, — w pokoju obok śpi ten wasz przyjaciel, może usłyszeć, chodź tu dalej — usłyszałem trzask drzwi, i na tem rozmowa się urwała.

— Usiadłem na siemniku i zastanowiłem się nad tem, czego oto przypadkiem wypadło mi się dowiedzieć. A więc Oldakowski przyjechał z do Rostopchów, i byłem właśnie mimowolnym słuchaczem sceny „miłosnej” pomiędzy nim a Kurzembiną — rozmowy która odbyła się o dwóch wiekach do późna. Kurzembina wyrzuciła Oldakowskiemu jakieś dawne winy. Przy łóżku miała jego fotografie, zatem żywi jeszcze dla niego jakieś uczucia, może się w nim kocha. Szkoda tylko, że to romanse odbywają się w tej właśnie sytuacji — pomyślałem.

Wstałem szybko i wyszedłem na podwórze. Spotkałem panią Oldakowską, wychodzącą właśnie z drugiej strony domu.

— Bon jour, jak się panu spało? — zapytała.

Wyglądała młodo i ładnie, w eleganckim podroznym płaszczu i w jedwabnej chustce, zawiązanej na głowie.

— Ja odpoczałem świetnie. Czy widział pan Stefana? Przyjechał z samego rana. Dostał wizę litewską. Teraz rozmawia ciągle z tą Kurzembiną, niby to o tem, jak przejść granicę, ale myślę, że oni chyba flirtują — zaśmiała się.

— Jakże jest to polskie przysłowie: „stara miłość rdzewieje” n'est-ce-pas? — dodała po chwili.

— Nie rdzewieje — poprawiłem.

— Stara miłość nie rdzewieje — powtórzyła z namysłem Oldakowska. — Ale ta Kurzembina! Mon Dieu, oż to za dziwna kobieta!

Obešliśmy w kółko dom, zajrzeliśmy do lasu i zmarznieli, powróciliśmy do izby kuchennej, w której powietrze było wciąż zle, ale przynajmniej ciepłe. Wkrótce potem zjawili się Kurzembina z Oldakowskim: ona — czerwona na twarzy i ze złym błyskiem w oczach, on — bladej.

— No jakże tam wasze plany, — zapytała Oldakowska, — czy wam to widać?

— Kazaliśmy zaprzęgać konie — odparła twarde Kurzembina. — Pojadę do Iglwii.

— Michał da panu o potrzebie. Stefan może być jak jest, w tej kurcie. Pojedziemy naprzód z Michałem do miejsc, które on zna. Tam będziecie czekać. Tymczasem pani się tu przebieżcie na mniej elegancko niż teraz; jaką swoją kciekę panu odstąpię, proszę pani, i zaczekamy tu na człowieka z Iglwii, który przyjedzie o wpół do czwartej. Zabierzemy się z nim we dwie i pojedziemy w to miejsce, gdzie będzie już Stefan i ten pan. Stałby tu przyjdziecie piechotą z moim człowiekiem, który was przeprowadzi na litewską stronę.

W czasie gdy Kurzembina mówiła, Oldakowski wstał nagle i zrobił ruch, jakby chciał jej przerwać, ale po chwili usiadł znowu, podpierając się pięścią głową.

Wyszędłem z parobkiem, żeby się przebrać.

— Daleko to do tego Iglwii, gdzieście teraz byli z panią? — zapytałem.

— Ta ja nie był z panią w Iglwii, panoczku, pani skreśliła od Iglwii i sama pojechała do Zawias — odpowiedział parobek.

Niedługo potem jechaliśmy z p. Stefanem wyboistą leśną drogą. Oldakowski milczał, nie kwapiłem się więc z rozmową.

— Widzi pan — zaczął nagle, jakby od środka swych myśli, Oldakowski. — Pan jest znacznie młodszy ode mnie, przysłał się więc panu kiedyś w życiu, to co teraz powiem. Gdy pan kiedyś nie uszanuje cudzego szerszego uczucia, jeśli go pan nie podniesie, nie przyjmie, albo nie przeczeła, albo nie pozwoli mi zgnać przy panu, na pana oczach, ale przetrzeć je pan na drugą stronę serca, — miłość do nieważki, przyjaźń do zawiaski, sympatję do zadróżki. —

— Coś to pani Kurzembina niema — powiedział parobek.

— Już w mroku zupełnie usłyszałem turkot kół. Jada, — pomyślałem, — chwiała Bogu. Wyszliśmy na środek gościnia, podjechała linijka. Na przedzie siedział zgarbiony, mały człowiek, za nim Kurzembina — sama. Oldakowski rzucił się w stronę.

— Co z moją żoną? — krzyknął.

— Twoja żona że się czuje, nie mogła jechać — rzekła ochryplym głosem Kurzembina.

Zesłała z linijki, nie zwracając na mnie uwagi, zbliżyła się do Oldakowskiego, pociągnęła go z drogi w stronę lasu.

— Ot i znowu, — powiedziałem do parobka, który stał przy koniach, rozmawiając o czemś z małym człowiekiem, — odejdę na chwilę.

Ledwie odychając, najciszej jak mogłem, ruszyłem w stronę, gdzie zginęła wśród drzew Kurzembina i Oldakowski. Musiałem wiedzieć dokładnie co się stało, myślałem, że będę mógł coś pomóc. Posyłałem głosy, stąpiełem krok dalej.

— Nie zrobiłaś tego, — wołał Oldakowski, — nie mogłaś tego zrobić...

— Wiesz, że zrobiłam — zabrzmiał głos kobiety. — Zawiozłam ją do Zawiasów do G.P.U. Czudziemka, niepewny paszport, ni to Polka, ni to Francuzka. Powiedziała, żeby zatrzymali ją do pewności, może szpieg.

— Wiesz czego ode mnie chcesz, co mam teraz zrobić?! — głos Oldakowskiego załamał się.

— Zostaniesz w Rostopkach. Co zrobisz, zobaczę, nie wiem jeszcze. Jestem od piętnastu lat w partii, słuchaj mnie tu, rozumiesz. Mogę tam pojechać, porozmawiać z nią — powiedziałem, że pewna, że nie szpieg.

niech jedzie won do Francji. Ale ty nie pojedziesz, zostaniesz tutaj.

— Zamilkli. Balem się, że już powrócę w tę stronę, więc poszedłem z powrotem do parobka i koni.

— To pani? — zapytał parobek.

— Nie, to ja! — odpowiedziałem — pani jeszcze niema.

W chwili potem wyruszyli się z lasu Kurzembina i Oldakowski. Razem podosłi do mnie.

— Proszę pana, — rzekł Oldakowski głuchym głosem, — żona jest chora. Muszę wracać do Rostop. Może później wyjedziemy. Na to niema rady. Do widzenia.

— Przeprowadziłem tego pana na drugą stronę — rzekła Kurzembina do „małego gościnia, gdzie stały konie. — A ty rusz do domu — rzekła do Michała.

— Dziękuję, dojdziecie — powiedziałem.

Stelem przez chwilę patrząc, jak Kurzembina wzięła Oldakowskiego pod rękę; on po prawej, ona po lewej stronie, ona tęższa od niego i ciężiej stąpając — oddalili się powoli, zlewając się z lepłą szarością zimnej, listopadowej nocy.

Następnego dnia siedziałem w wygodnym fotelu naprzeciw dyplomaty francuskiego o żartobliwym spojrzeniu i ruchliwych dłońach.

— Que voulez-vous, cher ami? — mówił podsuwając mi papirosy, których już dwakroć odmówiłem — to sprawa delikatna, niemał osobista, je la plains beaucoup, pauvre Genevieve. Ale wydaje się niemiernie trudna, jeśli nie niemiernie, jeśli nie niemiernie — powtórzył, przetrwał i zdusił doszczętnie ledwie zapalony papiros — d'intervenir.

Podniósł głowę znad kryształowej popielnicy i spojrzał na mnie łagodnym okiem, jakby wykapaniem w sok z wybornych winogron.

Wyszędłem z wizą francuską w kieszeri, ale z sumieniem niespokojnym. Było późne popołudnie. Na Laisves-alea napisy: „Maitas” i „Pienocentas” mieniły się zielonym i niebieskim światłem neonów. Pomyślałem o tamtej szarej stronie, która — zaledwie wczoraj przeżyła — dziś wydawała się już niemal snem. Ale długo jeszcze miałam mi się ten ponury sen z jawą; słyzałem z każdej ciszy „...je m'en prie!” pani Oldakowskiej, wyglądała ku mnie z kądzi mroku „złobowczy” uśmiech pana Stefana i straszyl w długie jesienne wieczory ciemności Kurzembina — rdzawy jak światło luzywa.

— Wiesz, że zrobiłam — zabrzmiał głos kobiety. — Zawiozłam ją do Zawiasów do G.P.U. Czudziemka, niepewny paszport, ni to Polka, ni to Francuzka. Powiedziała, żeby zatrzymali ją do pewności, może szpieg.

— Wiesz czego ode mnie chcesz, co mam teraz zrobić?! — głos Oldakowskiego załamał się.

— Zostaniesz w Rostopkach. Co zrobisz, zobaczę, nie wiem jeszcze. Jestem od piętnastu lat w partii, słuchaj mnie tu, rozumiesz. Mogę tam pojechać, porozmawiać z nią — powiedziałem, że pewna, że nie szpieg.

STANISŁAW STRONSKI

POLSKA I ROSJA: 1921-1939

Stosunki polsko-rosyjskie, na które wraz z sąsiedztwem składało się odwiecznie wiele-tar i staré, należą do najtrudniejszych w dziejach państwa polskiego, i to nie dlatego, że w ujęciu bezstronnym, lecz z podstawy rzeczowej, w naszym pokoleniu, rozspierającej się przed naszymi oczyma w czasie i w przestrzeni. Będzie to więc okres od wielkiego przełomu ostatniej wojny, z którym dla Rosji wiązał się przewrót społeczno-polityczny, a dla Polski odrodzenie państwa. Okres to jeszcze nie zamknięty, tak jak w ogóle wojna obecna jest niejako dokonaniem rozwoju i załatwieniem wszystkich w czasie wojny poprzedniej, okres toczyący dalej w olbrzymim rozpędzie kola zdarzeń, okres jeszcze nie złożony z toru życia na półki dziejopisarckie.

Niemcami i z Rosją, była wymowna, dobitna, niesporna. A żądza odwetu ze strony Niemiec zarysowała się wyraźnie już w chwili podpisywania Traktatu Wersalskiego, kiedy to Niemcy cały wysiłek i upór skierowali na wschód. Od strony Rosji zaś, pochlebnej olbrzymimmi żadaniami przewrót wewnątrz i na dalekich rubieżach azjatyckich, pokój w stronę Europy Środkowej, czyli z Polski, wydawał się w ludzkiej rachubie możliwy i prawdopodobny, a dane z Rosji potwierdzały, że i ona liczy na spokój od strony Polski, bo go jej potrzeba.

Wiek też, kto dobrze pamięta ostatnie czasy, pomni, że były u nas, na początku i na

W tym duchu trwałego wyrównania i uspokojenia załatwiono też sprawę granic, wytyczając je daleko na zachód od granicy r. 1772 — a ustalono je nie jako granice między Polską a Rosją tylko, lecz wyraźnie między Polską a Rosją oraz Białorusią i Ukrainą — jedynie według zasięgu utrzymania się polskości mimo 150 lat panowania rosyjskiego i ucieku, a nie z myślą o odrobieniu tego co tam zmieniono gwałtem.

Jeśli gdzie ujawniło się wówczas rozgoryczenie z powodu poświęceń i ustępstw, to w Polsce, a nie w Rosji. Nie wszystkim wydawało się konieczne, w szczególności, oddanie bardzo polskich ziem Kamieńca Podol-

układu o niezaczeptaniu się z trzech lat na dalsze dziesięć, w potwierdzeniu jego treści osobnym oświadczeniem obustronem 27 listopada 1938 wobec zwyciężczych europejskich.

Była jednak inna jeszcze trudność wcale niebiała.

Ustawicznie bowiem trzeba było mieć na oku wytrwałe zabiegi Niemiec celem podsycaenia waśni między Polską a Rosją, jak w ogóle między Europą a Rosją, co było dziedzictwem polityki Bismarcka wobec Rosji w ogóle, a dziedzictwem Brześcia Litewskiego z r. 1918 wobec Rosji Sowieckiej.

Temu celowi służył układ w Rapallo między Niemcami a Rosją z r. 1922, wzmocony jako układ przyjaźni w Berlinie w r. 1926, przedłużony w Moskwie w r. 1931, z zakończeniem postępowania przedłużającego w maju 1933 r. już za rządów Hitlera. Układ w Rapallo i w Berlinie nie brakło złych zamiarów niemieckich wygrzymania Rosji przeciw Europie i przeciw Polsce szczególnie, lecz brakło pazurów, które Rzeszy Niemieckiej wówczas jeszcze nie odrósł. Potem zaś stosunki między Trzecią Rzeszą Hitlera a Rosją weszły na tor odmienny, który zresztą trudno nazwać prostą drogą.

Więcej rachub rzeczywistych, doradczych i kutch na gorąco włożyły Niemcy w zawarty przez Hitlera układ z Polską z r. 1934, poprawny w swej treści pisaney jako układ nieuciekania się do zatargu wojennego, ale otoczony mgławicą gry politycznej.

Leż tu trzeba stwierdzić równie jasno jak dokładnie:

Choć w związku z tym układem p. Beck lubował się w polityce nieudmówień wobec Rosji, jednak jakiegokolwiek współdziałania z Niemcami przeciw Rosji — mimo nalegań niemieckich, które w końcu r. 1938 i na początku r. 1939 stały się natężające i ściśle określone już bez półsłówek — Polska, także z p. Beckiem jako sternikiem, odmówiła stanowczo, a ogół polski wszelką myśl współdziałania z Niemcami przeciw Rosji odrzucał tak jasno, mocno i powszechnie, iż na palcach jednej ręki można było zliczyć ludzi, którym także myśli o wspólnej wyprawie na Rosję chodziły po głowie.

Był to znowu jeden z objawów zmysłu narodowego i poczucia rzeczywistości dziejowej, które na wielkich zakrętach wskazują drogę całym społeczeństwom.

Wszystcy w Polsce zrozumieeli, że ze strony Niemiec grozi niebezpieczeństwo wspólne Polsce i Rosji. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, że tym razem Drang nach Osten jest tak dalekosiężny, że patrzy nie na Wisłę lecz na Wolgę i na Ural. Wszyscy jednak w Polsce widzieli jak na dłoni tę prawdę, że, pod pozorami przyjaźni z Polską, kryła się nie, uchronna zagłada Polski na drodze do Rosji.

Pisma niemieckie, całkowicie podległe w Trzeciej Rzeszy wskazówkom rządowym, ustawicznie od r. 1934 podsuwały pod układ polsko-niemiecki znaczenie jakiejś podstawy do współdziałania przeciw Rosji, nie zrażając się tem, że w Polsce odzewkiem nie było, a natomiast były stanowcze zastrzeżenia przeciwko takiemu pojnowaniu układu.

Co więcej, wiemy dzisiaj dokładnie z dokumentów ogłoszonych w naszej Białej Księdze, że Göring już na początku r. 1935, w czasie swego pobytu w Białowieży i w Warszawie, zaskoczył kilku wyższych wojskowych, a następnie i Pilsudskiego w Belwederze, roztaczaniem obrazu wspólnego pochodu na Rosję (dok. 16 z 10 lutego 1935) a kanclerz Hitler w rozmowie z p. Beckiem w Berchtesgaden 5 stycznia 1939 mówił, że każda dywizja polska, użyta przeciw Rosji, zaoszczędza jedną dywizję Niemcom (dok. 48 z 5 stycznia 1939), co sprawiło, że p. Beck w mowie w sejmie 5 maja 1939 wspomniiał tajemniczo o daleko idących wyrznięciach kierowniczych osobowości niemieckich.

Gdy p. Potemkin, zastępca komisarza spraw zagranicznych, w ciągu swego objazdu państw sąsiedziących z Rosją na południowym zachodzie, był w Warszawie 10 maja 1939 (dok. 163 z 13 maja 1939) i rozmawiał w M.S.Z., nie tylko dowiedział się, że Polska stanowczo odmawiała i odmówi zawsze współdziałania z Niemcami przeciw Rosji, lecz także zapewnił, że w razie zatargu zbrojnego między Polską a Niemcami stanowisko Rosji będzie zwyciężyła dla Polski.

Krótko mówiąc:

Ruszenia ustawicznie przez Niemcy, od r. 1933, Polska stanowczo odrzuciła wszelkie współdziałanie z nimi przeciw Rosji.

23 sierpnia 1939 stanął układ między Niemcami a Rosją ubrany w szatę umowy o niezaczeptaniu się wzajemnem.

Pisząc nazajutrz o tym układzie, zaznaczyłem, że niepokojącym jego rysem jest brak zwykłego w innych podobnych układach Sowietów zastrzeżenia, że w razie gdyby druga strona umawiająca się, t.j. Rzesza Niemiecka, stała się napastnikiem, układ wygasa.

Mimo to nie wierzyłem w możliwość współdziałania między Rosją a Niemcami.

Miało się okazać 17 września 1939, że się myliłem, a 22 czerwca 1941, że niezupełnie.



GRANICE WSCHODNIE POLSKI W WIEKU XVII, W ROKU 1772, OD ROKU 1920 (dajemy mapkę z napisami po angielsku, rozumieliśmy także dla cudzoziemców)

końcu dwudziestolecia odrodzonego państwa, dwie chwile osobliwe i wyraźne w swym przedwieństwie.

Od wiosny r. 1939 wszędzie w Polsce, po wsiach i miastach, było jednolite i twarde poczucie:

— Będzie wojna z Niemcami, trudno, niech będzie.

Natomiast od jesieni r. 1920, po przygodzie kijowskiej i po odparciu ostatecznem najścia wojsk czerwonych, niemniej jednolite było zdanie:

— Teraz koniec, chcemy pokoju z Rosją, już na dobre.

Szczególne były te ówczesne nastroje upartej woli pokoju bez zadrž na przyszłość.

Delegacja polska jechała na rokowania i pozostawała w Rydze przez cały czas pod wrażeniem świadomości, że kraj, zresztą tak jak i ona sama, chce trwałego pokoju z Rosją, odrzuca wszelkie przyzwykłe korzystania z jej kłopotów wewnętrznych, uważa za balamuetwa polityczne wszelkie myśli i rojenia o t.zw. rozbijaniu Rosji.

Delegacja rosyjska wiedziała o tem uspoibieniu w Polsce, a myśmy wiedzieli, że nie jest ono tajemnicą dla Rosjan. Niektórzy nawet kłopotali się, że to może usztywnić delegację rosyjską. Ale przeważał pogląd, iż ważniejsze jest, by tam wiedzieli, że Polska naprawdę chce pokoju z Rosją.

Naprawdę i stanowczo, acz nie z zamkniętymi oczyma.

Ta Rosja bowiem była bardzo obca, na jejona niepewności, światobużora.

Leż u nas powiędziano sobie:

— To ich rzecz, niech się urządzają u siebie jak chcą, a my u siebie po swojemu. Zasada: wolność Tomku w swoim domku. Ogrodzimy się, odgradzimy się, nie będziemy sobie rzucali kamieniami do ogrodów wzajemnie.

Nie tylko myślano tak. Podstawowa te zasada wprowadzona do układu w Rydze. Pewną nowością bowiem jest w nim postanowienie art. 5:

„Objęte układem strony zapewniają sobie nawzajem całkowite poszanowanie suwerenności państwowej i powstrzymanie się od jakiegokolwiek mieszania się do wewnętrznych spraw drugiej, w szczególności od agitacji, propagandy i wszelkiego rodzaju interwencji lub do ich popierania”.

Postanowienie to, rozwinięte w dalszym ciągu art. 5 i uzupełnione w art. 7, znaczyły:

— Jesteśmy różni, wiemy o tem dobrze, nie będziemy jednak wzajemnie ani się upodobniali jedni do drugich, ani jedni drugim nawracali.

Wiesz, że zrobiłam — zabrzmiał głos kobiety. — Zawiozłam ją do Zawiasów do G.P.U. Czudziemka, niepewny paszport, ni to Polka, ni to Francuzka. Powiedziała, żeby zatrzymali ją do pewności, może szpieg.

— Wiesz czego ode mnie chcesz, co mam teraz zrobić?! — głos Oldakowskiego załamał się.

— Zostaniesz w Rostopkach. Co zrobisz, zobaczę, nie wiem jeszcze. Jestem od piętnastu lat w partii, słuchaj mnie tu, rozumiesz. Mogę tam pojechać, porozmawiać z nią — powiedziałem, że pewna, że nie szpieg.

niech jedzie won do Francji. Ale ty nie pojedziesz, zostaniesz tutaj.

— Zamilkli. Balem się, że już powrócę w tę stronę, więc poszedłem z powrotem do parobka i koni.

— To pani? — zapytał parobek.

— Nie, to ja! — odpowiedziałem — pani jeszcze niema.

W chwili potem wyruszyli się z lasu Kurzembina i Oldakowski. Razem podosłi do mnie.

— Proszę pana, — rzekł Oldakowski głuchym głosem, — żona jest chora. Muszę wracać do Rostop. Może później wyjedziemy. Na to niema rady. Do widzenia.

— Przeprowadziłem tego pana na drugą stronę — rzekła Kurzembina do „małego gościnia, gdzie stały konie. — A ty rusz do domu — rzekła do Michała.

— Dziękuję, dojdziecie — powiedziałem.

Stelem przez chwilę patrząc, jak Kurzembina wzięła Oldakowskiego pod rękę; on po prawej, ona po lewej stronie, ona tęższa od niego i ciężiej stąpając — oddalili się powoli, zlewając się z lepłą szarością zimnej, listopadowej nocy.

Następnego dnia siedziałem w wygodnym fotelu naprzeciw dyplomaty francuskiego o żartobliwym spojrzeniu i ruchliwych dłońach.

— Que voulez-vous, cher ami? — mówił podsuwając mi papirosy, których już dwakroć odmówiłem — to sprawa delikatna, niemał osobista, je la plains beaucoup, pauvre Genevieve. Ale wydaje się niemiernie trudna, jeśli nie niemiernie, jeśli nie niemiernie — powtórzył, przetrwał i zdusił doszczętnie ledwie zapalony papiros — d'intervenir.

Podniósł głowę znad kryształowej popielnicy i spojrzał na mnie łagodnym okiem, jakby wykapaniem w sok z wybornych winogron.

Wyszędłem z wizą francuską w kieszeri, ale z sumieniem niespokojnym. Było późne popołudnie. Na Laisves-alea napisy: „Maitas” i „Pienocentas” mieniły się zielonym i niebieskim światłem neonów. Pomyślałem o tamtej szarej stronie, która — zaledwie wczoraj przeżyła — dziś wydawała się już niemal snem. Ale długo jeszcze miałam mi się ten ponury sen z jawą; słyzałem z każdej ciszy „...je m'en prie!” pani Oldakowskiej, wyglądała ku mnie z kądzi mroku „złobowczy” uśmiech pana Stefana i straszyl w długie jesienne wieczory ciemności Kurzembina — rdzawy jak światło luzywa.

PAWEŁ WILGA.

ON EVERY WOMAN'S LIPS

JEAN CLAUDE BEAUTY AIDS

NA USTACH KAŻDEJ KOBIECY

JEAN CLAUDE (wymawiaj „Dzin Kloud”) Ten wytworny kosmetyk, na który czekały niezliczone wszystkie panie, można nabyć w każdej dobrej firmie.

COSMETIC DISTRIBUTORS LTD. (Regent Street, LONDON, W.1.)

THE PERFECTION OF REFINEMENT AND ELEGANCE

POD NOWYM ZARZĄDEM RESTAURACJA FRANCUSKA

LACOUILLE

78, ST. MARTINS LANE, LONDON, W.C.2

Tel.: Temple Bar 8768

W niedziele zamknięta

POLSKI KUCHNIER dawniej w Katowicach

LANGER & COMPANY (Furriers) LTD.

Wykonuje futra NOWE i przerobki wszelkiego rodzaju. Futra na składzie. Specjalne usługownienia dla prowincji.

59, KNIGHTSBRIDGE, S.W.1. tel. SLO 3626

STRATTON STREET PICCADILLY, W.1. Phone: MAYFAIR 7807,9

LE COQ D'OR RESTAURANT

MAISON FRANÇAISE

Sala restauracyjna, większe i mniejsze sale bankietowe

B. BOSHER & SONS

464, Edgware Road, London, W.2

tel.: PADdington 1482

Secondhand Furs for Sale

Loans on Furs and Jewellery

Special Fur Storage

GENNAROS RENDEZ-VOUS RESTAURANT

Restauracja, która wita was uśmiechem i kwiatami

44, DEAN STREET, LONDON, W.1

tel.: GERard 3950

Sprzedajemy

MASZYNY DO PISANIA z polskimi literami

Naprawiamy tanio, szybko i dobrze, kupujemy, zamieniamy i wymienia.

AJAX TYPEWRITER CO.

12, Hampstead Road, N.W.1. naprzeciwko koł. tel.: EUSton 2774

Coraz powszechniej używają oficerowie

PASTY NUGGET WOJSKOWY BRĄZ (w pelnym tonie koloru)

dla nadania swym bucikom pięknego polsku i elegancji

Również w kolorach czarnym i ciemnoniebieskim

Produkcja zmniejszone — używanie oszczędnie

N/P/1

WHITE TOWER RESTAURANT

1, Percy Street, Tottenham Court Rd., W.1

Śniadania i obiady

Kuchnia grecka — wina greckie zamknięta w niedziele

Pokładane wcześniej zamawianie stolików

tel. MUSeum 2187 i 2826

Vanek KRAWIEC i KUSNIERZ CZESKI

Korzystna zamiana i kupno futer w dobrym stanie

Pierwszorzędne kosztjmy i palta zimowe na zamówienie

4, William Street, Knightsbridge, również w Bournemouth

L'ESCARGOT Bienvenu RESTAURANT

maison Francaise

Partners: Geo Gaudin, Alex Gaudin (French)

Service à la carte

48, Greek Street, Shaftesbury Ave., London, W.1. Phone: GERard 4460

BRYLANTY ZDROŻAŁY O 100%

PLACINY NAJWYŻSZE CENY W LONDYNIE ZA BRYLANTY, ZŁOTO (18K - ZA DWÓJE)

Biżuterja, klejnoty, kamienie szlachetne, srebro, platyna, antyki i kosztowności wszelkiego rodzaju. Gotówka i rzychmiast. Prosimy o odwiedzenie nas; zgłoszenia przez s/tek polecony albo telefonicznie. MAYfair 3822

LINDEN & CO. 85, New Bond Street, London, W.1. PIERWSZY SKLEP JUBILERSKI PRZY NEW BOND ST.

AKROPOLIS RESTAURACJA GRECKA z prawem sprzedaży trunków

dobra kuchnia wina greckie

24, PERCY STREET, W.1

tel. MUS 2289

Kupujemy Sprzedajemy

ZNACZKI POCZTOWE

Bogaty i wszechstronny wybór znaczków pocztowych wszystkich państw europejskich i kolonii brytyjskich

Najwyższa jakość po cenach przystępnych

Usługa polska

GARRICK STAMPS, 16 Charing Cross Road, London, W.C.2

* por. „Tajemnicza Rosja” w nr. 180 „Wiadomości Polskich”.

H. I. LUBIENSKI

SPRZYŚSIEŻENIE RADCY MURPHY

fotografie autora

KONFEDERACJA PATRJOZÓW

W małym mieszkanku pewnego dominikana na pl. Katedralnym, w Oranie, w październiku 1941 r. znajdowało się grono osób. Przy stole siedział sam gospodarz w białym habicie, o twarzy okragłej, o przelknie patrzyjących oczach, o ruchach gładkich i uprzejmych. Na stole, na łóżku, na półkach, po kątach leżały porozrzucone książki, różne dzieła filozoficzne i religijne. Mimo to ten uczonej zakonnik nie robił wrażenia człowieka, który spędził życie tylko w bibliotekach. Można by za Miekiewiczem powtórzyć: „Postać bernardyna wywadała, że mnich ten nie zawsze w kapturze chodził i nie w klasztornym zeształ się murze”. Teraz ojciec dominikanin przewodził i słucha w skupieniu każdego z obecnych.

Ten pan, siedzący obok gospodarza, o pięknym profilu, gładko przeczyszanych włosach, uprzejmie uśmiechnięty, to przedstawiciel jednej z wielkich rodzin arystokracji francuskiej. Był kiedyś „camelot du roi”. Później dygnitarzem w podziemnej organizacji cagouardowej, która miała obalić Trzecią Republikę. Lecz po zawieszeniu broni nie pozostał w Paryżu z dawnymi towarzyszami broni, którzy stali się gorącymi kolaborantami. Przeniósł się do Afryki i będzie jednym z filarów spisku. Będzie konferował z Hrabia Paryża, na pewien czas pozyska zaufanie p. Murphy, będzie brał udział w tajnej konferencji z generałami amerykańskimi w Cherchell, a po 8 listopada nazwisko jego obieganie cała prasa światową. Z konspiratora, któremu polcja depesz już po pięćdziesiąt, stanie się sam ministrem polcji. Potem rozlegnie się huk strażaków pod letnią rezydencją gubernatora, spełni się przepowiednia wróżki z Dalekiego Wschodu, w którą głęboko wierzył Darlan. I znowu los odsunie starego konspiratora od władzy, którą miał w ręku przez dwa tygodnie.

spzymierzonych. Powstanie (około 300 ludzi) zagnęli władze, Darlan, generałowie Juin, Koeltz i wielu innych dygnitarzy, oraz komisje włosko-niemieckie w komplecie znajdujące pod kluczem. Pseudo-Giraud ogłasza już swą proklamację (prawdziwy Giraud przybył dopiero dn. 12), a tymczasem spzymierzeni nie wkraczają do miasta. I w ciągu kilku godzin sytuacja zmienia się zasadniczo. Darlan zostaje zwolniony przez kompanię Garde Mobile. Skolei każe o aresztować p. Murphy, a ci, co dokonali aresztowań w nocy, albo sami zostają aresztowani, albo też zapadają się jak pod ziemię. W Casablanca dzieje się to samo. Gen. Bethouard jest panem sytuacji. Nogués zostaje aresztowany, lecz znowu po kilku godzinach, jeden z pułków, wierny mu, ratuje go z opresji, a gen. Bethouard, pragnąc uniknąć rozlewu krwi bratniej, daje się aresztować. Spzymierzeni bowiem sędzieli, że kapitulacja nastąpi niejako automatycznie, przez otoczenie najważniejszych miast. Gdy to się nie stało, powstanie znaleźli się w sytuacji tragicznej. Koszmar Dakaru jeszcze raz pojawił się przed ich oczami, na szczęście na krótko.

W lecie w r. 1942, los całej konspiracji zawisł na włosku. Delegat z Vichy, rezydujący w Algierze w celu kontrolowania polcji afrykańskiej, wpadł na ślad organizacji. Wydołał szereg nazwisk i przesłał raport, który — na szczęście — zostaje przejęty przez jednego z przyjaciół. Nie wiadomo jednak było co o tem wszystkim wiedzieli Gestapo, co brało na serjo, a co uważało tylko za jedną więcej, śmiejącą organizację młodzieży, wrzucającą ulotki do skrzynek pocztowych. Dekonspiracja przez Niemców musiałaby bowiem skompromitować placówki amerykańskie. Spzymierzeni nie przybyli do późno, jednak dopiero na 5 minut przed 12-a.

W walce podziemnej Francuzi są nowocju-

klubie golfowym dyskutuje często z przedstawicielami administracji. W r. 1941 amerykańska sieć konsularna zostaje poważnie rozszerzona. W samym Algierze w pewnej chwili jest czterech wielokonsulów. Konferencje muszą odbywać się w łazience, gdyż niema miejsca dla wszystkich. Są to przede wszystkim ludzie, którzy dotychczas niewiele mieli wspólnego z dyplomacją, ale znają Francję i język francuski. Co tydzień z Tunisu i Casablanki przylatują do Algieru

przed desantem, p. Murphy traci swego partnera. Gen. Weygand otrzymuje dymisję, i przez pewien czas wydaje się, że wszystko skończone. Wokół p. Murphy powstaje próżnia. Gen. Weygand sam przyspieszył kryzys własną polityką. Tam gdzie trzeba było raczej być dyplomata, gdzie jaskrawa postawa i demonstracyjne gesty antyniemieckie wywołał burzę. Weygand odosobnił zupełnie komisję włosko-niemiecką. Ktokolwiek próbował nawiązać

z radości. Darlanieci triumfują, prawdziwi kolaboranci mają drogę otwartą do awansu.

Pan Murphy nie traci jednak głowy. Wszyscy, którzy go widzą, mówią, że jest w świetnym humorze. Dyskretny dyplomata przedzierzga się teraz w konspiratora, więcej: w szefa konspiracji.

Dymisja Weyganda była dużym ciosem dla ruchu konspiracyjnego, gdyż na nim opierały się wszystkie elementy skrajnie antyniemieckie, w wojsku, w administracji i w polcji. Wobec zagrożenia, patrioci tem energiczniej zaczynają się organizować. Kontakty z konsulatami amerykańskimi stają się coraz bliższe. Wymierają nacisk na Waszyngton i Londyn, aby przyspieszyć pomoc spzymierzonej i uprzedzić okupację niemiecką. Na wiosnę r. 1942 w rękach p. Murphy zbiegają się wszystkie nici, zna on wszystkich najważniejszych przedstawicieli całego ruchu i gdy przyjdzie czas, da dyrektywy, które będą wykonane. Pan Murphy nie urzęduje już w konsulacie, lecz w dobrze zakamupowanym lokalu. W tym czasie w Tangerze w kufierku konsula angielskiego wybucha bomba w czasie transportu bagazy. Wybuch jest tak silny, że kilkanaście osób zostaje zabitych. Czy było to ostrzeżenie Gestapo dla Algieru? W lecie instrykturę, wydane przez p. Murphy, wskazują na zbliżający się desant. Różni emisariusze studiują wybrzeża afrykańskie, których stan obronny jest, jak oświadczył admirał niemiecki Welwert, „dérisory” (śmieszny). Równocześnie ze źródeł amerykańskich rozkładają się wieści po całej Afryce, że Amerykanie lądują w sierpniu. Pan Chatel wydaje tajny okólnik, z którego wynika że gaudiści przygotowali zamach stanu na połowę sierpnia. Lecz termin mija, i nic się nie dzieje. Z kołkiem sierpnia znowu alarmujące pogłoski, znowu pogotowie w niektórych

Niemcy nie doceniali również znaczenia akcji p. Murphy, gdyż zbyt pewnie czuli się w Afryce. Pan Auer uważał, że posiada dosyć środków kontroli, by nie niepokoić się obecnością p. Murphy. Komisje niemiecko-włoskie rezydowały we wszystkich ważniejszych miastach. Niemcy byli dobrze zorientowani w sprawach osobowych i systematycznie usuwali via Vichy wszystkich „podejrzanych” urzędników. Na tym odcinku walczył głównie p. Auer z p. Murphy. Auer powiecał również dużo uwagi naszym dawniejszym konsułatom. Jeden z naszych urzędników otrzymał „résidence forcée” na Saharze. Dni hr. Czapskiego w Afryce były już policzone. Naszych żołnierzy i oficerów posłano tak daleko na pustynię, że nie mieli oni żadnych rzeczy przy sobie. Niemcy nadzorowali wszystkie porty, kontrolowali wszystkie lotniska. W czasie ostatniej ofensywy Rommla, po raz pierwszy konwoje brytyjskie były atakowane przez samoloty niemieckie i włoskie z lotnisk algierskich i tuniskich.

Pozatem Niemcy czuli również pewne oparcie w społeczeństwie dzięki sympatjom arabskim, hiszpańskim, włoskim i t. zw. neo-Francuzów. W Afryce nie istniało takie odosobnienie, gdzie świat niemiecki i francuski ignoruje się wzajemnie. W Afryce członkowie komisji niemieckich i włoskich bywali zapraszani do szeregu domów prywatnych, i bojkotowano raczej Włochów.

Czy Niemcy nie nosili się nigdy z zamiarem okupacji Afryki francuskiej? Niewątpliwie takie projekty istniały. Weygand otrzymał w r. 1941 propozycję przysłania kilku dywizji pod pretekstem ofensywy dla odebrania Afryki Równikowej i Czadu gen. de Gaulle. Weygand odpowiedział, że do podjęcia takiej ofensywy potrzebne mu są tylko broń i amunicja, lecz że żołnierzy dziękuje. Później, o ile się nie mylę, te



Bogaci Arabowie przybyli na święto spahisów do Algieru

Lecz teraz, gdy przemawia, nie zna jeszcze przyszłych wypadków, które tak zaważą na jego życiu.

Obok niego siedzi krepki, baczysty mężczyzna, o grubym karku i bujnej czuprynie. To gorący republikanin, wysoki dygnitarz polcji. Nie chciałby być Niemcem, który dostanie się w jego łapy. Zesłany przed Vichy na gładką prowincję, na dwa dni przed przybyciem spzymierzonych zjawia się potajemnie w Algierze. W nocy z 7 na 8 listopada wkroczy do swego dawnego gabinetu, zacznie wydawać rozkazy i na czele oddanych mu ludzi, w ciągu kilku godzin zamknie w więzieniu wszystkich Niemców i Włochów, z wyjątkiem jednego Włocha, który dwa dni przesiadzi w komnie.

Ten młody oficer o bladej twarzy, dziecinny i niewinnym uśmiechu, mówiący poechem, będzie prawie przez rok głównym emisariuszem, krążącym po całej Afryce w tajnych misjach.

Ten gruby pułkownik, szef sztabu jednej z dywizji, w przedelowej nocy nie zdobędzie się na potrzebna decyzję. Zamiast aresztować swego generała, będzie go błagał, aby nie walczył z Amerykanami, i sam zostanie aresztowany.

A ten wysoki, chudy, nerwowy, jest komunistą i za kilka miesięcy będzie musiał zapuścić broń i ratować się ucieczką na łódź do Gibraltaru. Iż ludzi przeloż przez to mieszkanko ks. dominikana. Od wyznawców Marxa do dominikańskich pralatów.

O czem dyskutuje to zebranie? O tem, o czem mówią między sobą wszyscy konspiratorzy na świecie. Padają słowa: organizacja, prowokator, polcja, wyspa, szpieg, broń, łączność. Stąd, z Oranu, z końcem 1941 r. wydzie inicjatywa porozumienia się z innymi związkami konspiracyjnej organizacji w Algierze, w Maroku i w Tunisie. Na wiosnę r. 1942 centrum akcji przeniesie się do Algieru. Tu będzie rezydował sztab, którego nikt nie mianował, który powstał samorzutnie i który ulegał różnym przemianom osobowym wśród walk i aresztowań. Wszystkie sfery społeczne będą w tych organizacjach reprezentowane. Oczywiście, przeważa młodzież z różnych „camps de jeunesse”. Lecz element kierowniczy, to przede wszystkim emigranci z Francji, wśród których grupa Lotaryńczyków i Alzateńczyków ma duże znaczenie.

Cały ruch patriotyczny w Afryce zorganizowany był zupełnie niezależnie od podobnych organizacji w metropolji. Rozwijał się samodzielnie. Gaulliści, w sensie organizacyjnym, grupa „Combat”, uznający tylko gen. de Gaulle'a za swego wodza, byli bardzo niezłini i faktycznie istnieli głównie w Algierze. Komuniści, pomimo posiadania własnych gazetek i drukowanej prasy, w przygotowaniu do zamachu stanu i w samej akcji wzięli minimalny udział.

Organizacje patryjotyczne, mimo że rozporządzały oddanymi sobie ludźmi na wszystkich niemal szczeblach administracji, wojska i polcji, nie przedstawiały dostatecznej siły do dokonania samodzielnie rewolucyjnych zmian w Afryce. O mało co nie doszło do takiej próby z końcem r. 1941 po wyrzuceniu przez Niemców Weyganda. Była już gotowa lista rządów, wydrukowano proklamacje i przygotowano aresztowania, lecz w ostatniej chwili załamała się moralnie jedna z czołowych osobistości. Organizacje te mogły przygotować desant, a następnie przez zaskoczenie, osłabić opór w decydującej chwili. Warunkiem powodzenia było ściśle uzgodnienie tej akcji z planami spzymierzonych. Tymczasem, o ile uzgodniono należycie wiele szczegółów wspólnej akcji, o tyle nie zorientowano dostatecznie powstanców w taktyce, jaka doprowadziłoby ostatecznie do zamachu stanu i w przewidywanym przy wyładowaniu, a przedewszystkiem w siłach, jakie będą użyte.

Cóż bowiem dzieje się 8 listopada? Algier jest otoczony od rana pierścieniem wojsk

szami. To co dla nas, niestety, jest gorzkim chlebem codziennym, co stało się naszą tragiczną tradycją, a nawet, tak jak dziś, jedną formą naszego bytu narodowego, dla Francuzów dopiero teraz jest rzeczywistością. I dlatego zachęcają. Dlatego nie interesuje ich tak, jak Polska walci podziemnie. Z każdym dniem staje się im ona bliższa, droższa. Czyż można było przypuszczać kiedyś, że Francuzi będą interesowali się Żulkiem? A jednak ten Piłsudski przemawia dziś do ich wyobraźni.

DYPLOMATA I KONSPIRATOR

Gdy rada Murphy przybył na stałe w r. 1940 do Algieru, musiał powiedzieć sobie w duchu: „Wiele będę mógł zrobić tutaj za zgodą Vichy, t. zn. administracji, ale niewiele zdziałam walcząc z Vichy”.

Takie stanowisko było zgodne nie tylko z niepisaniem porozumieniem Leahy-Pétain, lecz i z nastojami afrykańskimi, o których pisałem. Popularność Pétaina w latach 1940-1942 była tu duża, znacznie większa niż we Francji w części nieokupowanej. O porozumieniu Roosevelt-Pétain pisałem w mym artykule o Vichy (nr. 163 „Wiadomości Polskich”). Aresztowanie i wyrzucenie Laval'a z rządu w grudniu 1940 r. ogromnie ułatwiło to porozumieniu. Czy oznacza to, że Laval nie chciał zbliżenia francusko-amerykańskiego? Nie sądzę. Laval niewątpliwie chciał, prócz karty niemieckiej, grać również i kartę amerykańską. Jednak Laval jest zjadłym wrogiem Anglii. Solidarność anglosaska nie pozwoliłaby nigdy na zbliżenie Waszyngton-Vichy, gdyby w rządzie francuskim tkwił Laval. Bez Laval'a Foreign Office mogło się pogodzić z flirtem z Vichy, naturalnie bez entuzjazmu. Gdy Laval wrócił do rządów, Leahy nie powrócił do Vichy. I spekulacje Laval'a na robienie solidarności anglosaskiej, sympatyczne dla Niemców, zupełnie zawiodły.

Pan Murphy spotkał w Afryce jako przedstawiciela Vichy gen. Weyganda. Nie mógł znaleźć partnera bardziej chętnego do współpracy, niż w osobie generała i niektórych jego współpracowników. Gen. Weygand mówił do rady Murphy w taki sposób: „Jeśli was (Amerykanów) będzie 100 000 żołnierza, przyjmę was z otwartymi ramionami, ale jeśli będzie was tylko 10 000, każę do was strzelać ze wszystkich armat”. Weygand nie chciał Dakaru, lecz chciał 8 listopada. Pan Murphy wiedział że nie ma tych 100 000 i że długo jeszcze ich mieć nie może. Dalecy jesteśmy jeszcze od tych dni, w których konsultacje amerykańskie na herbatkach rozdały informacyjne raporty o wspaniałych osiągnięciach przemysłu amerykańskiego. Pan Murphy wiedział, że każdy dzień zyskany jest sukcesem. Wiedział, że przyjechał do kraju, w którym należało dopiero zorganizować wpływy i propagandę Stanów Zjednoczonych, znaleźć przyjaciół i spzymierzeńców, poznać nieprzyjaciół. Zadanie bardzo trudne w kraju pozostającym pod wrażeniem strasliwej klęski metropolji, nieudanej wyprawy na Dakar, nieprzygotowania do wojny, w ogniu wrogiej propagandy i pod kontrolą rozlicznych komisji włosko-niemieckich. Przybycie pierwszych dywizji niemieckich na teren Afryki do Trypolisu, na wiosnę 1941 r. zrobiło również swoje. Toteż p. Murphy poczynał sobie niezmiernie ostrożnie. Ani nie bawił się w reprezentację, ani nie interwenjował, gdy wywoz do Niemiec rośnie, ani nie mieszał się do wewnętrznych spraw francuskich. Prowadził żywot skromny, cichy, mieszkał gdzieś na przedmieściach Algieru i zadawała się małym pokoiem w konsulacie, w którym pracuje i przyjmuje klientów. Nadal urzęduje konsul p. Cole, siedzący już w Algierze od lat kilku, a sympatyczny go p. Cole, dawniej konsula w Warszawie, wszyscy uważali za najbar-dziej pokojowo nastrojonego człowieka. Lecz p. Murphy nie traci czasu. Na herbatkach i w kawiarni de Ligne i kawiarni Goliowy w dawnym pięknym pałacu Polignac w Buzareu spotyka się z gen. Weygandem, a w

przedstawiciele tamtejszych konsulatów z raportami, i co tydzień poczta amerykańska odchodzi do Tangieru. Pan Murphy staje się jednym z ludzi najlepiej poinformowanych o osi, o sprawach afrykańskich, co nie było rzeczą łatwą, ze względu na trudności jakie robiła administracja przy przejazdach z jednej części Afryki do drugiej. Uzyskanie wizy do Tunisu, a szczególnie do Maroka było dużym przywilejem. W r. 1941 w lecie p. Murphy robi żręczne posunięcie. Zawiera

z nią stosunki, narażał się na ostry konflikt z polcją. Kilka młodych i pięknych pań ze znanych rodzin w Algierze, przesiadujących z oficerami włoskimi, zostało zesłanych pewnego dnia na Saharę z ogolonymi głowami. Weygand nie toleruje, w przeciwieństwie do admirał Abrial, przyjazdów oficerów niemieckich do Afryki bez zawiadomienia władz francuskich i pakuje ich z powrotem do samolotu. Wstrzymuje wywóz i nawet statkom, będącym już na pełnym morzu,



Dawna rezydencja beya w Tunisie

układ z gen. Weygandem jako delegatem rządu, i na podstawie tej umowy Stany Zjednoczone dostarczają do portów marokańskich benzyny i wyrobów włókienniczych. Pierwsze niezwykle ważne dla colonów, gdyż bez benzyny amerykańskiej żniwa w Afryce w r. 1941 byłyby niemożliwe. Drugie — dla ludności arabskiej, która w pewnych okolicach nie mogła wychodzić do pracy, będąc pólnąga. To posunięcie p. Murphy nie tylko wpłynęło korzystnie na nastroje

każe zwracać do prtu. Tępi szpiegostwo niemiecko-włoskie. Jest pełen podziwu dla gen. Timosenki i uważa że kampania w Rosji polozyl Niemcy. W październiku, w związku z pobytom w Afryce ministra wojny, gen. Huntzgera, odbywa się w Algierze poufne zebranie generałów pod przewodnictwem gen. Weyganda, które poddaje silny krytyce oportunizmu Darlana. Gen. Huntzger na kilka dni przed swą tragiczną śmiercią w powrotnej drodze z



Rezydencja zimowa gubernatora Algieru

ludności, ale także i administracji, której aurytaryt wzrósł.

Tymczasem wokół konsulatów tworzą się samorzutnie grupy przyjaciół Anglosasów. Jedni z nich chcą odwrócić i są pochłonięci, myślą o walce z Niemcami, inni, liczniej, myślą o walce z Niemcem, ale chcą, na nie chcą narażać się Niemcom, i przyjaźni wszelki wypadek zapewnić sobie i przyjaźni Amerykanom kontrolę stosunków francusko-niemieckich. Najważniejszy jest oczywiście ten ośrodek, który tworzy się wokół samego p. Murphy, mocnej indywidualności, wywierającej duży osobisty wpływ na gen. Weygand i jego współpracowników. Stosunki zadziergnięte w tym czasie przez p. Murphy w administracji, przetrwały częściowo aż do przyścia spzymierzonych. Wtem, w listopadzie 1941 r., równo na rok

Afryki dochodzi do porozumienia z gen. Weygandem przeciw Darlanowi. Wśród prawdziwych kolaborantów, polityka gen. Weyganda wywołuje zaniepokojenie.

Gen. Weygand był lojalny wobec marszałka Pétain, nie myślał o zerwaniu z Vichy i odrzucił wszystkie w tym sensie propozycje. Jednakowoż Berlin przetrząsnął się i zaczął usunąć Weyganda, a Pétain w specjalnym powołaniu do urzędników w Afryce oświadczył, że zrobił to tylko pod naciskiem. Jak Darlan bał się jednak Weyganda, świadczy forma, w jakiej pozbyto się generała. Najpierw ścisnięto go do Vichy pod pretekstem jakichś spraw bieżących, udzielono dymisji, a potem zamknięto w areszcie domowym na kilka tygodni. Gdy p. Murphy zobaczył zupełnie grono osób odprowadzających paną Weygand, zdał sobie sprawę jak dalece jego sytuacja uległa zmianie. Niemcy byli zadolwoleni. W jednej z kawiarni algierskich agenci Gestapo na wiadomość o dymisji Weyganda urzną się

garnizonach i znowu nie. Ta pogłoskowa polityka p. Murphy dezorientuje wszystkich, i gdy w październiku jeszcze raz zapowiedziane jest lądowanie, nikt w to nie wierzy.

Dn. 6 listopada wiadome jest w Vichy, w Berlinie, w Algierze, Rabacie, Tunisie, Turynie, że na morzu Srodoziemnym. Wszyscy przypuszczają, że ten konwój plynie do Egiptu. Admiralicja angielska będzie miała teraz wspaniały odwet za Norwegię. W kwietniu 1940 r. nie zorientowano się na czas w celach wyprawy niemieckiej; teraz Niemcy i Włosi zostaną wystrychnięci na kawałki. Ktoś, kto często widywał różne kierownictwo osobiste w Afryce, powiedział mi po desancie, że gdy usłyszał w nocy strzaly, był najgłębiej przekonany, że ten konwój, o którym tyle słyszal, zmylił drogę i biorąc Algier za Aleksandrię, chciał tam zawinąć. Tak dalece ludzie żyli pod wrażeniem kampanji egipskiej. Z władz najbardziej zaskoczona była marynarka. Admirałowie będą ostatni, którzy uwierzą że Anglosasi są już w Afryce, chociaż nie przybyli oni od strony Sahary, lecz od strony morza. W Oranie np. admirał dowiódł się o tem od swego ordynansa, który mu przyniósł poranną kawę. Ale uwierz przytem wówczas gdy pretekst powtórz mi to samo przez telefon. W Casablance dzieje się coś podobnego. I wówczas admirałowie zaczęli walczyć na... lądzie, przedłużając opór wbrew rozkazom Darlana.

Dn. 8 listopada o godz. 22, p. Murphy był zwycięzca. Lecz plan p. Murphy nie został w całości wykonany. Do Afryki nie powrócił gen. Weygand. Nie przybył również przywódca Herriot. Przybył gen. Giraud, który od początku, według ustalonego planu, miał objąć naczelne dowództwo wojskowe. Może wiele rzeczy ułożyłoby się lepiej i szybciej, gdyby p. Murphy nie brakło tych partnerów, na jakich liczył.

PRZEGRANA PARTII

Po zajęciu Casablanki przez spzymierzonych, w wili konsula Auera, głównego kierownika i inspiratora polityki niemieckiej w Afryce, znalaziono wielkie zapasy whisky, tytoniu angielskiego, ubrań, nawet piymy angielskie. Wszystko wskazywało na to że gospodarz nie nosił się z zamiarem opuszczenia swej wili i że miał dobry gust. Pan Auer, który niedawno przedtem był w Berlinie, zdolał zbiec do Maroka hiszpańskiegoo tylko dzięki zbytniej uprzejmości rezydenta, gen. Nogués. W komisji niemiecko-włoskiej w Algierze panował poglad, że próba wyładowania spzymierzonych w Afryce może nastąpić najwcześniej na wiosnę 1943 r., gdyż przed tym terminem spzymierzeni nie potrafią pokonać trudności przewozowych. Niemcy złe oceniali nie tylko termin operacji, lecz również jej miejsce i zasięg. Przewidywali powtórzenie się ataku na Dakar z równoczesną próbą zajęcia najważniejszych portów marokańskich czy też całego Maroka. Świadczyl o tem szereg zarządzeń i faktów. Oto kilka z nich dla przykładu. Vichy latem i jesienią 1942 r. posłalo do Afryki Zachodniej wiele nowych oddziałów i dużo broni. Również poczęto przesuwac oddziały z Algieru do Maroka. Oczywiście, wszystkie te ruchy wojsk odbywały się w uzgodnieniu z Niemcami. Komisja niemiecka w Casablance otrzymała instrukcje, jak powinna zachowac się na wypadek lądowania spzymierzonych. W razie oporu Francuzów komisja miała wziąć udział w walkach (rozporządzała ona całym arsenałem broni). W razie braku oporu komisja miała opuścić Afrykę samolotami. W jesieni 1942 r. Niemcy rozpoczęli studjować obronę wybrzeży marokańskich. Władze francuskie otrzymały polecenie przygotowania obrony wszystkich ważniejszych lotnisk afrykańskich. Zarządzenia te były nie tylko spóźnione, lecz wskazywały również na to, jak dalece Niemcy zostali zaskoczeni samą koncepcją operacji, której jedno skrzydło siegalo do granic Tunisu a drugie do granic Maroka z pozostawieniem Dakaru w spokoju.



Rewja w Algierze z okazji święta spahisów

propozycje nie były ponawiane. Po wyrzuceniu gen. Weygand, Niemcy uważali, że niebezpieczeństwo zostało usunięte. Brak zamachów na członków komisji, na wojskowych niemieckich, brak aktów sabotażu; z wyjątkiem kilku wypadków w Tunisie organizacje są słabe. Władze niemieckie, szpiegry, i przedstawiciele państw osi nie mieli powodów do skargi. Na tyłach armji Rommla panował porządek i spokój.

Flandin, który przez kilka miesięcy był ministrem spraw zagranicznych, niejednokrotnie powtarzał, że Niemcy nato żeby wygrać wojnę, muszą albo zająć wyspy brytyjskie, albo nie dopuścić do wyboru Roosevelta, albo zdobyć Suez. Niebezpieczeństwo okupacji Afryki było odsunięte nie tylko przez zawieszenie broni francusko-niemieckie. O wiele ważniejsze dla Afryki francuskiej było to, że cały wysiłek niemiecki poszedł w kierunku Suezu i że tam była skupiona uwaga niemiecka, bardziej niż Włoch. Egipt był bardziej celem polityki niemieckiej niż włoskiej. Cele bowiem Włoch leżały przede wszystkim we Francji i w Tunisie, a następnie na Balkanach. Rommel, dzięki swym talentom i sukcesom, strwarzał w Berlinie nie tylko wrażliwe, lecz i pewność że zdobędzie Egipt. Hitler zapewne wierzył w to, że potrafi dokonać tego samego co Bonaparte, chociaż na jesieni 1941 r. otrzymał pod murami Moskwy pierwsze ostrzeżenie Opatrzności. I trzeba przyznać, że rozumowanie Niemców było słuszne. Gdyby padł Suez, padłaby Malta i padłby Gibraltaru. Hiszpanie mieli zawsze odpowiadać na propozycje Berlina: „Najpierw weźmie Suez, potem weźmiemy Gibraltaru”. W razie zdobycia Egiptu niemożliwość do wykonania był listopadowy plan wyładowania. Vichy, oczywiście, pod naciskiem niemieckim zlikwidowało reprezentacje amerykańskie w Afryce, i kto wie czy p. Murphy nie czekałby los p. Auera. Niemcy uderzali więc tam gdzie należało.

Włosi w Afryce septycznie oceniali szanse Rommla. Gdy Rommel podchodził pod Aleksandrię, gdy z największym napięciem oczekiwano najgorszych wieści, pocieszenia i optymizmu trzeba było szukać tam gdzie najmniej chyba należało tego oczekiwać, a więc w komisji włoskiej. Włosi konsul Arrivabene, który obok admirała Salsa odgrywał największą rolę w Afryce, wrzyl niezmiernie Rommlowi i całej kampanji egipskiej katastrofę. Afryka została uratowana w zwycięskich walkach 8-jej armji. Natomiast operacja listopadowa, tak świetnie przeprowadzona, zleydowała o wyrzuceniu Włochów i Niemców z Afryki i tem samem przesadzila raz na zawsze los czarnego kontynentu, nie mówiąc o innych konsekwencjach.

Piekna i słoneczna jest ziemia afrykańska. Ulice Oranu tonieły w promieniach słońca, gdy czolgi amerykańskie pojawiły się po raz pierwszy i mknęły między dwoma szpalernami zabranego tunelu. Na ulicy panowała cisza. Ludność stała osłupiała, trwożliwa, niepewna jutra. Ani jednego gestu, ani jednego kwiatu. Nawet ci, którzy widzieli z radością przyście spzymierzonych, byli skompromitowani nowoczesnym wybuchem swych uczuć.

Jakichś dwoje Polaków zabłąkanał w tym tłumie chciało zawolac: „Vive la France! Vive les Etats-Unis!” i porwał zabranych swoich entuzjazmem. Może myśleli że ta armja wolności pojdzje, jak będą później mówili generałowie amerykańscy, przez Berlin do Warszawy. Dość, że głos ich okazał się za słaby pewnie ze wzruszenia, a może dlatego że spotkali się z gromnym wrzaskiem polcji. A tymczasem wśród loskotu prze-walających się czołgów, kończyła się jedna epoka w dziejach tego rozległego kraju i rozpoczynała się nowa, nieznaną, pełną niespodzianek i tajemnic.

H. I. LUBIENSKI.

„BALWOCHWAŁSTWO DYPLOMU”

Członek Rady Narodowej, p. Stanisław Józwiak, wygłosił na Radzie, dn. 29 lipca, przemówienie, które w szerszym niż dotychczas ogłoszonym drukiem, „Dziennik Polski” (z dn. 14 sierpnia) jakby dla zilustrowania uwag prof. Stronńskiego o pozycji inteligencji w postulatych „Polski chłopko-robotniczej” w nr. 179 „Wiadomości Polskich”. Pierwsze zdania mowy p. Józwiaka brzmią jak następuje:

„Z całą sympatią witam p. Mikołajczyka na stanowisku premiera, i to z różnych powodów. Może najwięcej dlatego, że po raz drugi od r. 1918 zerwano z nienajlepszą tradycją, która odgrywała decydującą rolę przy powoływaniu ludzi na najwyższe urzędy, t.j. z tradycją balwochwałstwa dyplomu.

„Nie znaczy to, bym nie doceniał wykształcenia i dyplomu w ogóle. Jednak dyplom tylko wtedy ma znaczenie, jeżeli w parze z nim idą doświadczenie i rozum życiowy; jeżeli tych dyplomów nie nabyto za pieniądze z kieszeni rodziców. A takich dyplomów mieliśmy setki i tysiące.

„Mam nadzieję, że mianowanie człowieka na najwyższe stanowisko w państwie po Prezydencie, człowieka, który się wybił ciężką pracą, nie będzie odosobnionym wyjątkiem i w przyszłej Polsce powierzać się będzie odpowiedzialne stanowiska, nie będąc tylko wyłącznie na dyplom, ludziom istotnej wartości, ludziom charakteru i mózgu.”

Mysłiwymi w emigracyjnej dzungli „charakterów i mózgów” jest już zblazowany, wybredny, nie skusi go byle bzdura. Ale przemówienie p. Józwiaka jest tym grubym zwierzem, który podrywa myśliciwa.

Pan Józwiak wita p. Mikołajczyka na stanowisku premiera z największą sympatią, dlatego, że mianując go, zerwano z tradycją balwochwałstwa dyplomu — po raz drugi od r. 1918.

Gdzie, kiedy, widział p. Józwiak balwochwałstwo dyplomu u nas? Nieszczęściem i klęską t.zw. sanacyjnych rządów było lekceważenie dyplomu i jego praw na rzecz subordynowanego dyktantyzmu i posłusznego amatorstwa. Za rządów t.zw. sanacji, wojskowi stawali na baczność, stukali w obcas, mówili: „Rrrrozkaz!” i posłuszenie obejmowali posady. Majorowie, pułkownicy, generalowie, jak spadochroniarze z jasnego nieba, spadali na najważniejsze punkty strategiczne w administracji państwowej, zajmowali starostwa, banki, monopole, urzędy podatkowe, województwa, burki, wakacje, teki. Szło nawet nie tylko o to, żeby mieć swoich, posłusznych, zdyscyplinowanych ludzi w co ważniejszych punktach. Wojsko, które nigdy nie mogło związać końca budżetu z końcem, wojsko, któremu brakło pieniędzy na najpilniejsze potrzeby do zbrojenia, które w r. 1938, aby móc zakupić trzy francuskie czołgi, musiało skrócić wykoszenie całego rocznika o tydzień — tak oszczędzało na pensjach oficerów. Oficerom w służbie czynnej, urlopowanym na czas „sprawowania posad cywilnych, placify pensję urzędy, banki, monopole. Kuratorami poważnych instytucji społecznych, przemysłowych, handlowych, związków zawodowych, kulturalnych (np. Związku Autorów i Kompozytorów Sennichych!) zostawali oficerowie. Dyktanci pracowali w skarbie, w Banku Rolnym, w lasach państwowych, dyktanci byli w rządzie, w Banku Gospodarstwa, dyktanci siedzieli w przemyśle, w handlu, w rolnictwie, w górnictwie, zajmowali się radem, kinem, propagandą, prasą, eksportem, importem.

Obawa przed fachowcem, specjalistą, zawodowcem, który mógłby wyłamać się z obowiązków dyscypliny partyjno-politycznej, choćby ze względu na swe zawodowe sumienie, była tak dziwna, jakby szło nie o Polskę, ale o „Polonie” pilkarską, w której amatorstwo było cnotą a zawodowość hańbą.

W czasach pełnoosobowych względy rasistowskie pogłębiały jeszcze bardziej naszą pochopność do poniewierania dyplomów. Np., na parę miesięcy przed wojną, do nowego wspaniałego szpitala im. Piłsudskiego zaangażowano na asystentów — z braku innych kandydatów — sześciu medyków z czwartego kursu medycyny. Byli coppersa inni kandydaci, bardziej kwalifikowani, bo z ukończonymi studiami i praktyką, ale byli to sami Żydzi. Młodzi lekarze polscy nie chcieli się na licho płacie posady asystentów. Można było, zdawaloby się, przyjąć lekarzy Żydów choćby tylko do czasu ukończenia studjów przez medyków „aryjskich” — ale właśnie, że „nie można było”. Mianowanie tych asystentów z czwartego roku było zbrodnią wobec chorych w szpitalu, wobec chorych Polaków, rzecz jasna, ale brednia rasistowska przeważała skrupuły. Wypadki tego typu zdarzały się już coraz częściej, można je było liczyć na setki.

Balwochwałstwo dyplomu? U nas? U nas dyplom był lekcją wian, poniewieranie, stał na szarym końcu w ogniku protekcji i „poparcia”. Dyplom — nawet nie w stosunku do czasu, do pracy i kosztów włożonych w jego zdobycie — był u nas najgorzej, najmniej płatny. I to wbrew prawom ekonomicznym o wzrastającej, podobno, wartości przy malejącej — bo mieliśmy najniższy niemal w Europie procent dyplomowanej inteligencji! Niższy od nas procent lekarzy, chemików, inżynierów, profesorów, doktorów nauk politycznych i społecznych, doktorów akademii handlowych, mechaniki i matematyki, miały tylko takie kraje, jak Bułgaria czy Albania. Jeśli u nas pozornie więcej było „na rynku” bezrobotnych prawników, adwokatów, niż mogaących wyżyć z dyplomu, to dlatego, że ich miejsca w administracji państwowej czy w przemyśle, w ministerstwach, w monopolach, czy w bankach, zajmowali inni, z protekcji, z wojska, z Ozonu. Rejentem zostawał p. Major, starostą p. Kapitan, wojewodą p. Generał, referentem p. Siostrienczyk, sekretarzem p. Kuzyn. Ale kto próbował atakować np. nadużywanie wojska do zadań cywilnych, szargał, oczywiście honor oficerski, godził w się zbrojną. (Mnie jednemu skonfiskowano z pięć piosenek i fraszek do „Cyrylka Warszawskiego” i „Szpilek” w tym przedmiocie).

Pan Józwiak, dziesiątą głosi tę samą zasadę barbarzyństwa sanacyjnego, tylko od drugiej strony, od „demokratycznej”. Coprawda obawia się zastrzeżeniami: „Nie znaczy to, bym nie doceniał wykształcenia i dyplomu w ogóle”. Wzruszającą jest to „wzruszenie”. Bardzo miło ze strony p. Józwiaka, że nie potępia wykształcenia i dyplomu w ogóle. Gdy p. Józwiak zachoruje — pobiegłoby do dyplomowanego lekarza; gdy będzie miał proces — poradzi się dyplomowanego adwokata; gdy zechce postawić dom — weźmie dyplomowanego architekta. Ale gdy chodzi o zdrowie i prawo państwa polskiego, gdy chodzi o dom Polski, p. Józwiak przedewszystkiem wita w kierowniku rządu — człowieka bez dyplomu. Brak dyplomu jest tą pierwszą zaletą, w jej stronę następuje ukłon.

Aby uniknąć zarzutu demagogii, trzeba przyznać, że świat nie wymyślił jeszcze

dyplomu na premiera, dyplomu na polityka, na meza stanu — niema takich dyplomów. Z pewnością dyplom naukowy nie jest gwarancją „doświadczenia i rozumu”, i niepotrzebnie p. Józwiak nas o tem zapewnia. Ale do pewnego stopnia dyplom naukowy daje gwarancję opanowania jakiejś szkoły myślenia. Kilka choćby lat wyższych studjów daje gwarancję poznania samej metody, samej dyscypliny obserwowania i wyciągania wniosków, ścisłości logicznej, powagi, trzeźwości, krytycyzmu. Studja właśnie są szkołą nie tyle mądrości ile postawy intelektualnej i charakteru. Dyplom naukowy daje często podstawę wyjściową, bez której trzeba błądzić, szukać właściwej drogi poomacku. Nonsensem byłoby twierdzenie, iż ludzi na kierownicze w państwie stanowiska należy wybierać tylko z uniwersytetów i akademii. (Nawet u Anglików, którzy w Eton, w Oxford i w Cambridge mają swe szkoły meżów stanu, zdarzają się, nie tak rzadko, premierzy i ministrowie spoza tych szkół). Nie tylko Witos nie miał u nas dyplomu, nie miał go Piłsudski ani Paderewski, Sławek ani Prystor, Jędrzejewicz ani Beck. Dyplomu nie miał co drugi polski premier, co drugi minister, lepszy czy gorszy, nie było u nas żadnej „tradycji dyplomowej”. Co znaczy to naiwne „zerwanie z tradycją”, i to „po raz drugi od r. 1918”??

„Jeżeli tych dyplomów nie nabyto za pieniądze z kieszeni rodziców” — mówi p. Józwiak. Co to znaczy „nie nabyto”? Czy w Polsce można było nabywać dyplomy za pieniądze? Gdzie, u kogo?

Nasze wyższe uczelnie były do ostatnich czasów, mimo jędrzejewiczowskich reform, na najwyższym światowym poziomie. W Polsce nie było łatwo zostać doktorem medycyny lub prawną, bardzo trudno było ukończyć politechnikę warszawską czy lwowską. Bardzo trudno było studentowi przesłać się po wierzchu trudności, jeśli było wycięgnięciem dyplomem czy „nabyć” go łapówką. „Pieniądze rodziców” wielu studentom ułatwiły życie w okresie studjów — ale co w tem złego? Czy dyplom był przez to gorszy? Jakże cel lepszy dla pieniędzy rodziców niż ułatwienie studjów, dzieciom?

Niestety, większość naszych studentów pozbawiona była wydatniejszej pomocy rodziców, większość dyplomowanych zaadzieżała swe dyplomy własną harówką, przegrzała się przez nędzę życia akademickiego, zdobywała dyplom zębami i pazurami. Jak wiele fermentu wśród młodzieży, jak wiele niezadowolona społeczność, jak wiele politycznego niepokoju brało się właśnie z tego poczucia, że całe pokolenie studujących znalazło się w błędnym kole nędzy w czasie studjów i smutnych, marnych widoków na przyszłość, wskutek lekceważenia dyplomu w społeczeństwie i zatknięcia wszystkich dróg „karjery” przez protegowanych, przez wojskowych, przez prawnorządnych, przez posłusznych.

Nie pisaliśmy tyle o przemówieniu p. Józwiaka (które w dalszych ustępach wydało mi się zresztą słusne i na miejscu) gdybym nie widział w niem jęszcze jednego, gorszego aspektu.

Straszliwym tępieniem naszej zawodowej inteligencji w Polsce przez Niemców, straszliwym wytępieniem naszej inteligencji przez zsyłki do Sowietów, zupełnym ubytkowaniem czterech już uniwersyteckich roczników (ta ilość lekarzy czy inżynierów, którą zdolaliśmy wykształcić w Anglii w ciągu czterech lat, to nie, to nawet nie kropla w morzu!), towarzyszyło zdziwienie kultury polskiej na emigracji, okropne niechlujstwo języka, spliczanie i prostacko intelektualne. Gdzie nam się równać do tamtej emigracji, z jej nauką Europy, nauką Zachodu, z jej biedą, skromnością i pokutą, z jej arielskim mistycyzmem, z sublimacją polskiej mowy? Gdzie wśród nas ta sublimacja tęskniących, wierzających, cierpiących? Gdzie egzaltacja, uniesienie, gorączka na miarę nieszczęścia?

Poziom oficjalnych, obowiązkowych mów, tych „zabrań głosu” w Radzie Narodowej, w zastawianiu z poziomem przemówień w polskim sejmie, w zastawianiu z mowami Daszyńskich i Trampezyńskich, Thuguttów i Lutolskich, Liebermanów i Putków, Byrków i Stronńskich, Witosów i Diamondów; poziom urzędowy, „sanacyjnej” „Gazety Polskiej” zastawiony z „Dziennikiem Polskim”, który kiedyś będzie jednym plikiem aktów oskarżenia; poziom tego prymitywnego „kwadransu radiowego”, w którym piętnaście minut za wiele, jak na to co jest w nim do powiedzenia; poziom filmów tu wytworzanych; poziom rozgrywek fikcyjnopartyjnych i tej opozycyjnej histerji; naszej fikcyjnej propagandy i fikcyjnych „referatów” — oto dowody beznadziejnego opuszczenia się naszego na emigracji, na szczebelach, tam jaskrawszego, że na tyle tak dzielnie, tak pięknie postawy lotników, marynarzy, żołnierzy, zesłańców w Rosji.

W takim fatalnym momencie dziejowym, schlebiamy polskiej tendencji lekceważenia „dyplomów” — jest schlebiamiem wzbierającemu prostacku. W takim momencie respekt dla dyplomu, respekt dla pracy naukowej, dla intelektualnego wysiłku, dla każdej intelektualnej komórki, w której, jak w komórkę pszczelego plastru, zachował się złoty miód polskiej kultury, respekt dla każdego mózgu, który jest jednym tonem w naszej tępoję, rabowanej, mordowanej bibliotece — ten respekt jest naszym psim obowiązkiem.

Nie mam żadnej wątpliwości że p. Józwiak nie miał krzyżu zły woli w swej wypowiedzi, ale nie trzeba być zawodowym podpalaczem, aby podpalić stodołę: wystarczy niedbalostwo. Nieostrożnie, nieuwierzliwe komplementy p. Józwiaka pod adresem „charakterów i mózgów”, pod adresem „ciężkiej pracy”, jaką „wybił się” p. premier, stają się nieostrożnym barbarzyństwem, którego nie wolno puszczać plazem.

Panu premierowi Mikołajczykowi wyświadczył p. Józwiak po przyjacielsku niedźwiedzią przysługę. Pan Mikołajczyk jest, jak z wielu kompetentnych ust słyszałem, człowiekiem rozumnym i skromnym. Niewątliwie zdaje sobie sprawę z tego, iż fakt zostania premierem nie jest jeszcze dowodem „wybicia się”, zwłaszcza gdy kontrkandydatów niewielu a gabinet kluczowy. „Wybijanie się” zaczyna się dopiero od zostania premierem. Dopiero na stanowisku premiera można się „wybić” albo dobić.

Pan Mikołajczyk jest młody (jest w tym samym wieku, co ja) — Anglicy mówią o ludziach w naszym wieku: „Give the boy a chance”. Droga, jaką odbył od swego startu do obecnego półmiska, jest naprawdę imponująca, i p. premier ma wszystkie szanse zdobycia siebie samego uznania, wdzięczności i szacunku. Gdyby miał dyplom, nie byłoby to jego wadą, ale ze wszystkich zalet, jakie posiada, brak dyplomu nie wydaje mi się tą, za którą należy mu się „najwięcej sympatii”.

Założona w r. 1882
RESTAURANT des GOURMETS
Kuchnia kontynentalna z prawem wyżywku
Zapas przednich win francuskich
47, 48 & 49, Lisie Street, Leicester Square, W.C.2
tel. GERard 5511

ADVENTURES OF A POLISH PRISONER
napisał MARIAN PIOTROWSKI
przedmowa plk. VICTORA CAZALETA
przełożyła LOUISE L. JARECKA

ČESKOSLOVENSKÁ RESTAURACE
61 & 63 Edgware Rd., Marble Arch, London, W.2
OBIADY I KOLACJE
Najlepsza czeska kuchnia
Wszystkie wina i piwa. Autobusy: 1, 6, 8, 15, 16, 60

Dn. 25 sierpnia 1943 r. o godz. 10 rano w katedrze St. Mary przy ulicy Broughton Street w Edynburgu odbędzie się w rocznicę zawarcia dn. 25 sierpnia 1939 r. przymierza polsko-brytyjskiego uroczyste nabożeństwo ZA POMYSŁNOŚĆ NARODÓW BRYTYJSKIEGO I POLSKIEGO.

JĘZYK ANGLIJSKI
Kursy korespondencyjne. Doświadczona nauczycielka udziela specjalnych lekcji angielskiego drogą korespondencji. Powodzenie zapewnione. Proszę napisać: Tutor, 64, Finchley Ct., London, N.3

Przygody oficera polskiego, wziętego do niewoli niemieckiej, po walkach dywizji polskiej we Francji. W czasie rocznego pobytu w obozie jeńców autor miał możliwość przycięcia się sytuacji w Niemczech. Cenny wkład do literatury wojennej.
Ilustracje JEANA GEDDESA
1 Os. 6d.
Lindsay Drummond, 6, Buckingham Street, London, W.C.2

Przyjmuję wszelkie prace maszynowe oraz tłumaczenia w językach obcych. Tel.: ABB 1623 od godz. 12-13 i od godz. 18. Pisownie do: Carlton Berry Co. H.K. Grand Buildings, Trafalgar Square, W.O.2

PROSIMY CZYTELNIKÓW „WIADOMOŚCI POLSKICH” O ROZPOWSZECHNIANIE WŚRÓD SWYCH PRZYJACIÓŁ BRYTYJSKICH DODATKU „THE POLISH NEWS” (STR. 6)

MISCELLANEA



— Mam wrażenie, Mein Führer, że niebawem będziemy musieli powziąć raczej nieprzyjemną decyzję.

WIELKA BRYTANIA A SOWIETY
„Calvalade” z dn. 14 sierpnia zauważa, że stosunki brytyjsko-sowieckie przechodzą kryzys. Stworzenie komitetu woliwych Niemców w Moskwie wywołało wiele domysłów w sprzymierzonych kołach dyplomatycznych, i „Anthony Eden nie zdołał przekonać opinii publicznej iż rząd odnosi się tego kroku z niedwuznacznym zadowoleniem jako do kroku w dziele demokratyzacji Europy”. Także reakcja Cordell Hulla i innych rzeczników amerykańskich nie była jasna.

Jak wiadomo, „News Chronicle” jest najbardziej prosowieckim dziennikiem angielskim.

„Harold Jensen, w liście do redaktora „Time and Tide” (z dn. 14 sierpnia), ostrzega przed machinacjami „woliwych Niemców”. Potępiają oni akty napaści nie jako takie, ale dopiero wtedy gdy nie zostały one uwiecznione powodem. Teraz zaś, kiedy wojna zaborcza została przez Niemcy przegrana, proponują zamianę jej w wojnę „wolnościową”. Ta cy „woliwych Niemcy” gotowi są, podobnie jak to się stało po tamtej wojnie, zrobić wszystko dla ocalenia resztek niemieckiej maszyny wojennej, aby odbudować ją w odpowiedniej chwili.

„Harold Jensen, w liście do redaktora „Time and Tide” (z dn. 14 sierpnia), ostrzega przed machinacjami „woliwych Niemców”. Potępiają oni akty napaści nie jako takie, ale dopiero wtedy gdy nie zostały one uwiecznione powodem. Teraz zaś, kiedy wojna zaborcza została przez Niemcy przegrana, proponują zamianę jej w wojnę „wolnościową”. Ta cy „woliwych Niemcy” gotowi są, podobnie jak to się stało po tamtej wojnie, zrobić wszystko dla ocalenia resztek niemieckiej maszyny wojennej, aby odbudować ją w odpowiedniej chwili.

„NEWS CHRONICLE” I TASS
Urzędowa agencja sowiecka TASS ogłosiła komunikat, z którego wynika że Stalin nie był zaproszony na konferencję w Quebec. Referent dyplomatyczny „News Chronicle” E. P. Montgomery pisze w numerze z dn. 14 sierpnia, że „pryjaciele Rosji ubolewają nad wydaniem tego komunikatu”. Podkreśla on, że wprawdzie komunikat TASSA jest „technicznie” prawdziwy, gdyż istotnie nie zaproszono przedstawicieli sowieckich na obecną konferencję Roosevelt’a z Churchillem, jednak Moskiewie proponowano zorganizowanie spotkania obu meżów stanu ze Stalinem. Narada ta miałyby się odbyć w miejscu bardziej dogodnym dla wszystkich uczestników, Krenl uznał jednak, że w tej chwili jest to niewykonalne. Także przed konferencją w Casablance proponowano Staliniemu wzięcie udziału w naradach, i Prezydent Roosevelt wyraził gotowość przybycia w tym celu na Bliski Wschód. Od czasu wizyty Churchilla w Moskwie Stalin więc, że będzie miłe widziany na naradzie z premierem brytyjskim i z Prezydentem Stanów Zjednoczonych.

PRZYSZŁOŚĆ FRANCJI
Markiz Crewe zamieszcza w „Contemporary Review” z sierpnia interesujący artykuł o przyszłości Francji. Arystokrata brytyjski nie widzi możliwości restauracji monarchji we Francji i przewiduje, że pierwsze wolne wybory dadzą przewagę lewicy, lecz komunistki nie będą odgrywały wielkiej roli.

SZTUCZNA REWOLUCJA
„France” z dn. 12 sierpnia ostrzega w artykule wstępnym przed zbyt naiwnym ustosunkowaniem się do rządów Badoglia. We Włoszech nastąpiła zmiana według recepty niemieckiej — faszyzm obalono, monarchia konstytucyjna odzyskała, armia i religia są w poszanowaniu i... wojna trwa. Niemcy zaproponowali już podobne „rewolucje” Wegrom i Rumunom, którzy się na to zgodzili. W pewnej chwili koleją przyjdzie na Niemcy, i wciąż będzie się tłumaczyło sprzymierzonym, że skoro faszyzm czy hitlerizm obalono, ich cele wojenne zostały osiągnięte. W ten sposób powstanie nowa Europa, zorganizowana na zasadach podobnych do karty atlantyckiej, lecz nadal prowadząca wojnę z Rosją.

DEMOKRACJA WE WŁOSZECH
„Tribune” z dn. 13 sierpnia analizuje rozwój wydarzeń we Włoszech od chwili upadku Mussoliniego i dochodzi do wniosku, że ruch demokratyczny jest tam bardzo silny. Mimo dwudziestu lat zastój, mimo naskoku kościółki i grób czynników wojskowych, ruch ten zaczyna wywierać decydujący wpływ na położenie we Włoszech.

Tygodnik kończy swój artykuł następującymi uwagami: „Wszyscy się zgadzają że siły demokratyczne są we Włoszech jednym sprzymierzonym, na którym możemy polegać. Obecnie okazuje się także, że są

MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO
Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road, London, S.W.1
zawiadania o siedmiu książkach:
SZOBER, NIEWIADOMOŚCI I BOGUCKA
NAUKA PISOWNI WE WZORACH I ĆWICZENIACH
str. 52 Podręcznik dla kl. V szkoły powszechnej cena 2/-
Do nabycia w polskich księgarniach i księgach Skład główny: Polish Books Depot, 1, Atholl Place, Edinburgh

STEFANA THEMERSONA
PAN TOM BUDUJE DOM
ilustracje FRANCISZKI THEMERSON
cena w opr. 7/-
IKAR PUBLICATIONS LTD.
Skład główny F. MILDNER & SONS, 6, HERBAL HILL, LONDON, E.C.2

Nowość!
PROROCTWA I PRZEPowiednie DOTYCZĄCE OBECNEJ WOJNY
Przepowiednie Apokalipsy św. Jana — Proroctwo Danielowe — Przepowiednie Piramid — Michał Nostradamus (wyciągi z przepowiedni) — Przepowiednia św. Odylii — Przepowiednia „mickiewiczowska” — Proroctwo Wernyhory
cena 1s. 6d.
do nabycia w księgarniach: M. I. KOLIN (Publishers) LTD.
LONDON: 9, New Oxford Street, W.1
EDINBURGH: 31a, Castle Street

Nowość!
SZKOŁA TANECZNA
Panie Pola Nireńska i Catherine Devillier otworzyły szkołę taneczna, ze specjalnymi kursami gimnastyczno-tanecznymi dla pań (6, Carlisle St., Soho Square). Tel: GULiver 1525, w godz. 9-11 rano.

Nowość!
OFIARY
„Wiadomości Polskie” przekazały Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi następujące ofiary złożone w redakcji: £4, „dn. 14 sierpnia, jako w trzecią rocznicę przymusowego pobytu na pewnej wyspie, poza szeregami wojska polskiego, na pomoc jeńcom wojennym, koleczy”: £1 — Stanisław Balicki; £1 — Cz. Perzanowski; 3s. — dla jeńców polskich w Niemczech, Cz. Sł.; razem £6 3s.

Nowość!
OPIEKA POLSKA W POLSCE
Jednym z najpilniejszych zadań rządu i społeczeństwa w Polsce po zakończeniu działań wojennych będzie roztoczenie opieki nad szerokimi masami ludności. Dla zorganizowania się w możliwościach w tej dziedzinie ministerstwo pracy postanowiło zorganizować, narazie na terenie Wielkiej Brytanji, rezerwy opieki społecznej.

Ministerstwo ogłasza rejestrację ochotników do tej rezerwy. Do rejestracji zgłaszać się mogą obywatel polski, pleci obojga, w wieku od 18 do 60 lat, cieszący się dobrem zdrowiem.

Blizszych informacji udziela ministerstwo (62/64, Brook Street, London, W.1).

POLACY-EWANGELICY
Grono Polaków-ewangelików utworzyło oficjalną organizację ogólnowęgelską p.n. Zrzeszenie Ewangelików-Polaków w Wielkiej Brytanji.

Uprasza się o przesłanie korespondencji i zgłoszeń pod adresem: dr. Kożusznik, 100, Eamont Court, Mackenall Street, London, N.W.8.

W zgłoszeniach należy podać: nazwisko, imię, datę urodzenia, stan cywilny, zawód, obecne zajęcie i dokładny adres, oraz nadmienić, do którego zboru zgłaszający się należał w Polsce.

PARK-WAY COURT
46, Lancaster Gate, London, W. 2
tel.: PADington 1012
(koło Marble Arch, minuta od stacji kolej podziemnej Lancaster Gate, naprzeciwko Hyde Parku)

KOESPONDENCJA
AMENDOLA
Do redaktora „Wiadomości Polskich”
Suum cuique: Giovanni Amendola nie był „najbardziej” zamordowany Matteottiego aktywnym przywódcą socjalistów włoskich, jak to czytamy w rubryce „Miscellanea” (nr. 179 „Wiadomości Polskich”). Amendola był przywódcą liberalów.
ADAM CIOLKOSZ.

PARK-WAY COURT
46, Lancaster Gate, London, W. 2
tel.: PADington 1012
(koło Marble Arch, minuta od stacji kolej podziemnej Lancaster Gate, naprzeciwko Hyde Parku)

Pokoje dla oficerów ze śniadaniem i kąpielą 10/6 dziennie, £2. 12s. 6d. tygodniowo
Napoje i przekąski przy bufecie

CROCE A BADOGLIO
Według „Stockholms Tidningen” z dn. 10 sierpnia, Benedetto Croce ostrzega Wołchy przed losem Hiszpanji po upadku Primo de Rivercy. Croce twierdzi podobno, że próba obalenia rządu Badoglia przez sprzymierzonych jest błędem. W ten sposób bowiem



— Powiedzieć im, że w duszy, podobnie jak ja, byliście zawsze demokratami.

robili oni to samo co robili Niemcy, oddając władzę quislingom, „co na dalszą metę zneutralizowało czysto wojskowe zwycięstwa Niemiec”.

ZACIEMIENIE
„Evening Standard” prowadzi kampanię za zniesieniem lub przynajmniej za złagodzeniem zaciemnienia w Wielkiej Brytanji. W artykule wstępnym z dn. 9 sierpnia dziennik zwraca uwagę na ogromną zmianę położenia od czasu nalożów z r. 1940 i pisze: „Rok 1940 jest równie odległy jak r. 1840 dla wszystkich — z wyjątkiem urzędów państwowych, które wprowadziły do zaciemnienia i które w tej sprawie cierpią na stałe zaciemnienie umysłowe. Znosząc zaciemnienie, rząd odciążyby ludność psychicznie, zmniejszył obawy o jej zdrowie i nagroziłby ją za wierną służbę dobrej sprawie. Rząd powinien ograniczyć zaciemnienie i zwiększyć wysiłek wojenny”.

WIELKI BUNTOWNIK
Pod tym tytułem „Manchester Guardian” z dn. 27 lipca poświęca artykuł zmarłemu lordowi Wedgwood. Ten wytrwały parlamentarzysta był przyrodnym buntownikiem politycznym. Zyskał to twarde, wybuchowy indywidualista. Wprawdzie Wedgwood hodował przekonaniami radykalnym, można go jednak pod pewnymi względami nazwać konserwatyście: tak np. okazywał szczególne przywiązanie dla instytucji parlamentarnych oraz dla tradycji swej rodziny, w której posiadaniu jest fabryka sznycel porcelany.

Na kilka lat przed śmiercią Wedgwood, wówczas jeszcze członek Izby Gmin, wysunął myśl napisania szczegółowej historii parlamentu brytyjskiego, obejmującej biografie wszystkich jego byłych członków i rozpoczął nawet prace nad tem olbrzymim dziełem.

„Manchester Guardian” podkreśla, że kto znał Wedgwooda w zaraniu jego kariery parlamentarnej, uważałby za niemożliwe aby przyjął on tytuł lordowski. Najwidoczniej jednak jego miłość instytucji brytyjskich obejmowała także Izbę Lordów. W oczach bowiem Wedgwooda obie izby odznaczały się tą bezczynną zaletą, że zawsze i na każdy temat można tam powiedzieć o cokolwiek się chce.

W lutym 1938 r., gdy wojska włoskie walczyły w Hiszpanji a Hitler przygotowywał się do zajęcia Austrii, Wedgwood miał wygłosić przez radio brytyjskie pogadankę polityczną. Pogadankę tej nie wygłosił, gdyż cenzura zażądała usunięcia następujących zdań: „Hitler pragnie Austrii, Czechosłowacji, Litwy, Estonji, części Polski i Ukrainy, oraz — mam nadzieję — południowego Tyrolu, nie mówiąc już o Sleswigu i Holsteinie oraz Malmédy. Mussolini jest bardziej umiarkowany; chce tylko Maury, Palestynę, Egipt, Arabii, Tunis i opanowania Hiszpanji. Obaj chcą pewnie dostać także od nas pożywki. Tak wyobrażają sobie sprawidłości”.

DWA MĄDRE ROZKAZY
W rozkazie z dn. 3 sierpnia podnosi gen. Sosnkowski, że po czterech latach wojny zatara się różnica pomiędzy oficerami służby stałej i oficerami rezerwy, że wspólne boje i wspólna służba zwróciły obie kategorie, że ofiarą pracy oficerów rezerwy zyskała sobie powszechny szacunek: „Niema wśród nas miejsca na kastowość i źle pojęte poczucie odrębności zawodowej. Pragnę widzieć w polskim korpusie oficerskim całkowitą jedność moralną, zrodzoną z równości obowiązków. Uznaję jedynie rywalizację usług na polu walki i w służbie. Ostrzegam przed niebezpieczeństwami, jakie niesie z sobą duch przywileju formalnego”.

Piękny ten rozkaz, owiany duchem prawdziwie demokratycznym, nawiązuje do szczytnych tradycji legionowych.

Nie mniej znamienny jest drugi rozkaz z tego samego dnia, zakazujący wywieszania w lokalach wojskowych podobizn żyjących dowódców, nie wyłączając podobizny nacelnego wodza.

Kładzie on na pewnym odcinku kres kardiidarstwu i balwochwałstwu.

GOSPODA POLSKA
właściciel St. Józwiak
449, Oxford Street, W.1
(naprzeciw Seltsige’a)
WYBORNĄ POLSKĄ KUCHNIĄ

Z prawem wyżywku trunków
PIWA I WINA PIERWSZEJ JAKOŚCI
BRITANNIA RESTAURANT
Kuchnia angielska i kontynentalna
60, Tottenham Court Rd., London, W.1
tel.: MUSEum 0382
(tuż przy Googde Street Tube Station)

37, Dorset Street (przy Baker Street), W.1
polska
umeblowane oraz nieumeblowane mieszkania i pokoje
tel.: WELbeck 3302

OPIEKA POLSKA W POLSCE
Jednym z najpilniejszych zadań rządu i społeczeństwa w Polsce po zakończeniu działań wojennych będzie roztoczenie opieki nad szerokimi masami ludności. Dla zorganizowania się w możliwościach w tej dziedzinie ministerstwo pracy postanowiło zorganizować, narazie na terenie Wielkiej Brytanji, rezerwy opieki społecznej.

Ministerstwo ogłasza rejestrację ochotników do tej rezerwy. Do rejestracji zgłaszać się mogą obywatel polski, pleci obojga, w wieku od 18 do 60 lat, cieszący się dobrem zdrowiem.

Blizszych informacji udziela ministerstwo (62/64, Brook Street, London, W.1).

POLACY-EWANGELICY
Grono Polaków-ewangelików utworzyło oficjalną organizację ogólnowęgelską p.n. Zrzeszenie Ewangelików-Polaków w Wielkiej Brytanji.

Uprasza się o przesłanie korespondencji i zgłoszeń pod adresem: dr. Kożusznik, 100, Eamont Court, Mackenall Street, London, N.W.8.

W zgłoszeniach należy podać: nazwisko, imię, datę urodzenia, stan cywilny, zawód, obecne zajęcie i dokładny adres, oraz nadmienić, do którego zboru zgłaszający się należał w Polsce.

ZIEMIE WSCHODNIE
Ukazała się broszura zbiorowa p.t. „Ziemie wschodnie”. Składają się na nią następujące pozycje: „Aniol Pański” za duszę Naczelnego Wodza; „Z doświadczeń przeszłości” Juliana Łukasiewicza; „Amalgam sprzed stu lat” Jana Kucharzewskiego (fragment z dzieła „Odblask caratu do czerwonogó”); „S.p. Eugenjusz Romer” Władysława Wielhorskiego, komunikat zarządu Związku Ziemi Północno-Wschodnich Rzeczypospolitej.

SZKOŁA TANECZNA
Panie Pola Nireńska i Catherine Devillier otworzyły szkołę taneczna, ze specjalnymi kursami gimnastyczno-tanecznymi dla pań (6, Carlisle St., Soho Square). Tel: GULiver 1525, w godz. 9-11 rano.

THE POLISH NEWS

ARTICLES • EXTRACTS • LETTERS

Grunwald

The present war began in a little Polish town called Westerplatte. Somebody, some day, had to show the courage to stand and fight. Our world was decaying from compromise to compromise. A few more compromises and there wouldn't have been anything left to give away.

It is fitting that the Poles were the first people to make the necessary stand. They were not only the first people in this war to turn on the ravaging Germans; they were the first people in the history of Europe.

Less than a hundred miles from Westerplatte is the town of Grunwald. Five hundred and thirty-two years ago the Poles stood at Grunwald against the Germans. They beat the Germans on that 15th of July, 1410; and thereby saved Eastern Europe from the wolves for centuries.

One exciting part of the story of 1410 is that the Poles were already at that time building a federal state, in which people with differing backgrounds could work together for the common good. At Grunwald the Poles and the Lithuanians and the Ruthenians were united; and with them fought Czech volunteers.

It is worth recalling the reasons for the battle of Grunwald. In the early 15th century the shores of the Baltic Sea had long been cursed by the Teutonic Order of the Knights of the Cross. Those Knights had been supported by the Western Christian world in order that they might live on the border of Christianity and spread the gospel to the eastward.

But the Teutonic Knights had exploited the West, accepting money and arms and making themselves, not into missionaries of the truth, but into a German military post. They kept the Slavs from the sea. They oppressed and brutalised their neighbours. And they did it all in the name of civilisation. A pretty preview of Hitler's "New Order."

In 1383, as a step in warding off the menace of the Teutonic Knights, the Princess Jadwiga (who had an equal claim to the thrones of Poland and of Hungary) married Jagiello, grand duke of Lithuania, who had just been crowned King of Poland at Cracow. He ruled as Wladislaus II; Lithuania was brought into the Catholic Church; the beginnings of a true federal state were created. The Poles, in other words, had done by peace what the Teutonic Knights had failed to do by fire and sword.

But the Knights wanted fire and sword. That was what they lived for. Not Christianity, but plunder. Not government, but piracy. At once, therefore, the Knights attacked the new federal union, which threatened to foster peace and neighbourliness and religion. In the words of a modern historian, the Teutonic Knights had become a "superfluous anachronism"; but they had no intention of passing out of history—not a bad description, again of the Third Reich.

The attack of the Knights on the new Polish state was broken at Grunwald, by an army of Poles, Lithuanians, Ruthenians, and Czech volunteers. Symbolically, King Wladislaus' signal for attack at Grunwald was "Cracow and Vilno"; the capitals of Poland and Lithuania respectively. A sign of solidarity among Christian peoples trying to find ways of peace, and as usual having to fight German barbarians who sought to impose the solidarity of slavery.

It is an interesting fact that the Hitler Youth today is taught the story of the Teutonic Knights as their first lesson in history. Hitler, too, is founding a Teutonic Order, with an economic system based on piracy

and a political system based on irresponsible force, which means slavery. Hitler, too, is "defending" civilisation as an excuse for conquering and murdering his neighbours. Hitler, too, believes in extermination as the simplest method of solving problems of human relationship. (In Danzig, for example, the Teutonic Knights, under the plea that they were "Christianising" the natives, murdered 40,000 men and women. And the entire Slavonic tribe of Prussians was wiped out by the Knights.) Hitler is taking up where his admired predecessors left off; he hopes to solve Germany's "Polish problem" for ever, by seeing to it that there are no more Poles.

From the Teutonic Knights to the Austrian monster, the crooked cross has been the most appropriate of symbols; everything horrible is accomplished in terms of something good.

To-day, again, as we have said, Poland has been the first to accept the challenge, the first to fight against the evil of the crooked cross, the evil of pretending to be saving civilisation when in fact you are killing it. By making her stand in 1410 Poland saved Eastern Europe for centuries. By making her stand in 1939 Poland gave the whole world an opportunity to earn another chance to make our Christian civilisation come true. Because Poland stood, and was temporarily destroyed, the Nazis, were prevented from taking the world inch by inch, without a serious struggle.

Poland reminds us that the grievous troubles of to-day have a long past, and that the time has come for a final settlement with the people who have felt themselves privileged to treat their neighbours like swine. There has long been something wicked in the German cultural tradition. We can learn the outline of that wickedness in the first flowering of that tradition among the Teutonic Knights.

Grunwald is a miniature of the victory the United Nations must now accomplish. At Grunwald the Poles and Lithuanians and Ruthenians and Czechs stood together and they won. To-day the United Nations must stand together, not for Eastern Europe alone, but for the whole unhappy world. One of the less happy results of modern technology is that the Teutonic Knights of to-day can kill all decency everywhere. As Hitler says, the technological means are now for the first time available to enslave the entire human race.

What we need to-day is a new battle cry of Wladislaus. Not "Cracow and Vilno" alone, but all the capitals of all the decent civilised people, everywhere, who would like to live good lives and to respect their neighbours.

In New York City we have a monument to Grunwald. The statue of Wladislaus II, who beat the Knights in 1410, was accepted by New York as a permanent monument for Flushing Park before America came into the war. I think it is the only World's Fair exhibit that has become a permanent monument in our city. It is a legacy from that dream "world of to-morrow," symbolising the continuity of history. In that statue the painful but glorious past joins hands with the painful but possible glorious present.

Plato told us that the only great poetry is "hymns to the Gods and praises of famous men." Praises of famous nations would certainly be admitted even by that Puritan moralist. There is no greater subject for such praises, in our western Christian world, than the ancient and noble nation of Poland.

HERBERT AGAR.

Wherever There Is a Pole, There Is a Newspaper

This saying must be very witty, well-founded and to the point if the British Minister of Information repeated it again at his Press Conference for Foreign Correspondents on August 4th. It should be stressed that, in saying this, Mr. Brendan Bracken had no intention of slighting either the Polish Press or the Poles; on the contrary, he was extremely courteous to us and he availed himself of the occasion to pay tribute to General Sikorski and to stress that the United Nations feel more every day what a heavy blow they suffered by his death.

I confess that I watched our Czech, Belgian, Dutch, Greek, Norwegian, etc., colleagues with envy. All they have to bother about is a supply of paper. The rest they can easily manage themselves. Their position has been simple enough throughout the war, even if they were somewhat upset by the existence of a Quisling or Hacha or some similar personage. Our cause, the cause of the press of a Nation which has nothing to be ashamed of, was always more complicated and difficult, and any day it may enter an even more difficult phase. These people, the Belgians, Dutch, Norwegians, Greeks, etc., have, so to speak, victory already in their pockets. In our case, the more the New Order of the Nazi adventurers cracks, the more question marks we are faced with.

"Wherever there is a Pole, there is a paper." It is true! For instance, in Nairobi a paper for children "The African Flame," is published. Isn't it laughable? Or, again, in Bombay, there is also a paper for Polish children. I am rocking with laughter, but suddenly I cease to laugh when I read "The Brass Beetle," a secret paper for children in Poland. Is there any other country where a secret paper for children has to be published?

There is no such country. There is no country whose culture is being destroyed by the occupying power with so much determination, ruthlessness and cruelty. Why? Not a single Polish book has been published in Poland for the last four years! Is there any better illustration of the ordeal of Polish culture than the fact that secret papers for children have to be published? But how can we explain this to an Englishman, who is both intelligent and friendly to us? Can a foreigner understand the part now being played by the free Polish Press? This press in exile must work for the home country; it has had, and still has to do its best to fill these four fallow years, during which Polish folk at home had to hide deep underground. It is impossible to explain this to anyone, because this is something new, unknown and unheard of.

Paper supplies? The English are loyal and just and they apply the same regulations

to all. But war has imposed upon Poland regulations (if I may use this word) which are exceptional, extraordinary and abnormal. What is going on in Poland has never happened anywhere before. Thus, so at least it seems to us, the allocation of paper for the Polish press should be larger than that allowed by the ordinary regulations. The needs of the Polish press have increased, while its possibilities have remained unchanged or even have been gradually decreasing. For instance, we should like to supply papers to the Polish soldiers in the Middle East, but under present conditions this is impossible. I know very well a certain paper which, for some time, has not been able to supply its readers in Britain; every week 500 would-be readers have to be turned down. How can one even dream of exporting the paper in these circumstances?

Paper? This is by no means the end of our trouble. On the contrary, it is only a beginning of the difficulties which are piling up while the defeat of the Axis approaches. Our position is becoming somewhat paradoxical: we hear more and more about the "good" Germans and the "good" Italians, before long we shall probably be hearing about "good" Hungarians, Rumanians and Bulgarians, and meanwhile the "good" Poles are mentioned ever more rarely. Whereas, from the very beginning, from September 1st, 1939, up to this very day, Poles have always been, and always will be, "good." Nevertheless, an attentive reader of the allied press might form the opinion that the Poles are "bad." That they consist only of chauvinistic landlords, that they are a people unable to live in peace with their neighbours, that they are "totalitarian" in so far as they demand the integrity of Poland's frontiers, that they are greedy imperialists, etc.

In these circumstances, the rôle and position of the Polish press, which grows everywhere where there are Poles, is beset with ever-growing difficulties. For instance, in violation of the principles of "savoir vivre" the Polish press defends Poland's rights to all her pre-war territory and says that we did not enter this war in order to emerge from it with our territory halved. It may be that this is tactless of us, that we have no right to put the matter otherwise, though in doing so we expose ourselves to trouble with the censorship and to accusations of unnecessarily provoking "friction" between the Allies. Furthermore, the Polish press must, at least from time to time, remind the world of the fate of our deportees, particularly the children. Of those deported to a part of the world where, whenever a Pole set foot, there followed only tears and sweat. I, must add

that even there a Polish paper accompanied the Polish exiles. It was one of the most extraordinary papers and its story should have a place in the annals of journalism. It was a little paper written by hand, affixed to the walls of every latrine, in every concentration camp and every prison.

The vicious Polish press in Britain have, furthermore, to enquire into the mystery of the death of 10,000 murdered Polish officers. This press had to argue with those papers which openly accused the Polish Government of plotting with Hitler and Goebbels. These are some of the complications and difficulties with which other foreign journalists in England do not have to cope. Lucky fellows! Their position is simple and easy, their activities do not strike the eye and do not annoy anyone.

With regard to the allegedly excessive number of Polish papers, I should quote the objective opinion of the "Manchester Guardian," that all the Polish papers together use 150 tons of paper a year; that is, we think, exactly as much as the paper supply for one issue of one of the twelve London Sunday papers. Can the number of Polish papers be reduced? Can they be standardised? It cannot be done, unless we want to make the expression of Polish public opinion similar to that of all communities which have been moulded by Nazis and Fascists. Polish public opinion and Polish political thought is not and never will be totalitarian. The Polish press in exile ought to give as valid and accurate a picture as possible of all the currents and shades of public opinion.

The wrongs of the Polish nation cannot be passed over in silence by the Polish press. Polish journalists in exile hope to return to Poland, where those whom we shall be permitted to see still alive will certainly ask: "Where were you during the war? Why did none of you try to reach the public opinion of the Allies? Your silence in matters so vital, so essential and so great cannot possibly be justified. You have not done your duty."

We wish to avoid such a verdict. But every one of us also realises that we cannot abuse the hospitality of the British, especially when this hospitality is so noble and so friendly as that which we have enjoyed for the last three years. We must strike a balance between our two duties: we must think of British censorship, which, I may add, is a model of truly gentlemanlike behaviour, and of the censorship of our home country. In spite of everything, the latter carries the greater weight with us.

One thing is certain: silence is not always golden.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

Against a Fifth Partition of Poland

We reprint from the "Congressional Record" (No. 127, Vol. 89, p. 7298, July 5th, 1943) remarks made by Representative Hamilton Fish (N. Y.) who thus paid tribute to the memory of General Sikorski:

As we know in America this war broke out in Europe back on September 1, 1939, because Great Britain and France guaranteed to uphold the territorial integrity of Poland. That is what General Sikorski likewise was endeavouring to uphold as well as to restore the independence of Poland as a free and sovereign nation.

In view of the fact that the preservation of the territorial integrity of Poland was the origin of the European War, the restoration of Poland's independence and its territorial integrity should be one of its main objectives. I hope that when this war has been won by an all-out victory there will again be a free and independent Poland based upon its pre-war territorial boundaries for which General Sikorski and the Polish people have fought, sacrificed, and died. I am opposed to a fifth partition of Poland and believe the American people will insist on the restoration of a free and independent Poland with its pre-war boundaries intact. If this is not done then General Sikorski and hundreds of thousands of patriotic Poles will have died in vain and millions of Poles will have endured the misery, suffering, human slavery, and starvation of a conquered nation likewise in vain. The memory of General Sikorski, a gallant soldier and an able statesman, lives on and will inspire and encourage the Polish people to continue the battle to restore a free and independent Poland.

"Synonymous with England"

You have heard often and plenty about Poland's treaty with Germany. Somehow (the reason is obvious) you are very seldom reminded of the fact that on July 25, 1932, yes — 1932! — a pact of non-aggression was signed at Moscow between Poland and the Union of Soviet Socialist Republics. It reads:

"Should one of the Contracting Parties be attacked by a third State (like Poland by Germany) or by a group of other States, the other Contracting Party (Russia) undertakes not to give aid or assistance, directly or indirectly, to the aggressor State during the whole period of the conflict."

We remind you of this solemn pact. The rest is known to you.

Still more interesting is the words of M. Molotov to Ambassador Grzybowski on September 8, 1939:

"...the intervention of Great Britain and France has created an entirely new situation... For us Poland is now synonymous with England." *

When Did the Second World War Begin?

To the Editor of "The Times" †

Dear Sir,
Great Britain and France did not assault Germany when they declared war on her, on the 3rd of September, 1939. Fulfilling their treaties and pledges, on September 3rd Great Britain and France came into a war which had been started by the Germans on September 1st. For other allied or enemy countries the war began on different dates of different months and years. Each country is justified in observing its own particular date of entering, or being forced to enter, the War.

But the War, the Second World War, began on September 1st, 1939. It began with the German crime, her assault upon Poland. To fix and observe the 3rd of September as the date of the outbreak of the War, not only causes embarrassment to us, the Poles, but plays straight into the hands of German propaganda, which is only too eager to have confirmed in this way that England was the aggressor, Germany, "hampered in her right to settle her own affairs with the Poles," being the victim of aggression.

The Germans have already started arguing away those two days of the War, two days which most strikingly bear witness to their guilt, their ill will and aggression. That is why, apart from Polish feelings, the matter seems to me of sufficient importance for me to ask you to take it into consideration.

Yours faithfully,
MARJAN HEMAR.

* M. Grzybowski to M. Beck. Moscow, September, 8, 1939. Republic of Poland. Ministry for Foreign Affairs. Official Documents concerning Polish-German and Polish-Soviet Relations, 1933-1939. London, Hutchinson; p. 188.

† The above letter was sent to The Times, but was not published. (Ed. of Polish News.)

POOR MAN'S MIRACLE

a play in 5 acts
by Marian Hemar
Price 4/6
Minerva Publishing Co.

Obtainable from M. I. KOLIN (Publishers) LTD.
LONDON: 9, New Oxford Street W1.
EDINBURGH: 31a, Castle Street

Redaktor: ZYGMUNT NOWAKOWSKI
Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C. 2; Published every Tuesday at 229/231, High Holborn, London, W.C. 1.

Nowość!

Jeśli chcecie przysłużyć się sprawie polskiej, kupujcie tę broszurę dla Waszych przyjaciół-Brytyjczyków

EUROPE EXPECTS ENGLAND

by Zbigniew Grabowski

Stron 48

do nabycia w księgarniach: M. I. KOLIN (Publishers) LTD.
9, New Oxford Street, London, W.C.1

Cena 1s. 6d.

31a, Castle Street, Edinburgh

Nowość!

Wanda Wasilewska

I return to the important question of the Polish renegade movement, the so-called "Union of Polish Patriots." It cannot be said too emphatically that any friendly publicity accorded to it by the British Press is a betrayal of all the ideals we are fighting for. If the "Union of Polish Patriots" is to receive a cordial welcome, then it is time that Quisling was allotted the same treatment. The attitude of the Left Wing Press is typified by the remarks of *The Times*' special correspondent on April 29th. Referring to the attack on General Sikorski's Government made in *Izvestia* by Wanda Wasilewska, he wrote:

"This article, as well as a leading article in *Pravda*, make it clear that every effort will be made in Moscow to prevent the suspension of diplomatic relations with General Sikorski's Government from causing a rift to develop between the Russian and Polish peoples." and continued, "There can now be little doubt that the Soviet Government is prepared to recognize only a Polish Government which, once and for all, silences expression of opinion considered to be prejudicial to Russia's present and future interests," although he makes no attempt to reconcile this passage with the statement that "What Moscow hopes for" is "leaders of a true democratic stamp."

Now this sort of comment in a responsible journal, which is widely regarded abroad as a semi-official organ, can only have encouraged the Russians in their quarrel with Poland. It thus adds to the difficulties of the United Nations by fostering something approaching internecine strife, whereas, had *The Times* taken its stand from the beginning, upon the declared principles for which this country went to war, the Bolsheviks might conceivably have been deterred by the unfriendly reception of their rupture with Poland. It is against all the ideals we support that the government of one country should be controlled by that of another or subjected to the political blackmail involved by the establishment of a Quisling movement.

There can be no doubt that the friendly reception accorded to Wanda Wasilewska has been an important factor in the Soviets' decision to continue sponsoring her movement.

As very little is known of her antecedents in this country, a brief sketch thereof is of interest. She comes of an old Polish family, and her father, Mr. Wasilewski, was a member of the Polish Socialist Party, a patriotic organization in which Pilsudski was one of the leading figures. Mr. Wasilewski was, ironically enough, the first Polish Foreign Minister since the Partitions, and he was the Polish representative at the Treaty of Riga and played a considerable part in delimiting the eastern frontier of Poland, a settlement which was freely negotiated with Moscow. Wanda Wasilewska is, accordingly, fighting her own father's work in supporting the Russian claim to Eastern Poland. She has been known for some time in Poland as a novelist (though not of the first rank), and although not at first a puppet of Russia, has always been recognized as a friend of the U.S.S.R. When the Bolsheviks occupied Lwów she offered them her services, and went so far as to join the Red Army, receiving as her reward, extraordinary as it must appear in English eyes, the rank of Colonel! She subsequently married Korneichuk, Vice-Commissar for Foreign Affairs, having previously received Soviet citizenship on joining the Red Army. Her husband is a notorious anti-Polish propagandist and the writer of articles on the Polish Ukraine advocating its return to Russia.

That is to say, the leader of the "Union of Polish Patriots" is no longer even of Polish citizenship and is married to a government official of a foreign power, notable for his antipathy to Poland. Needless to say, the movement commands no support in Poland, and Wanda Wasilewska's propagandist attempts to "convert" Poles exiled in Russia have been received with contempt and derision. There is a curious idea current in this country that the Ukrainian nationalists in Poland are pro-Russian. They have certainly been somewhat anti-Polish in the past, but their aim has always been to achieve an independent state in union with the Russian Ukrainians. There is reason to believe that the occupation of the Bolsheviks, followed by the occupation of the Germans,

who have always fostered and supported the movement, has completely reconciled the Ukrainian nationalists to Polish rule. Wanda Wasilewska has therefore no support in that quarter, nor in any other. But it is difficult to impugn her sincerity, for apart from the fact that she is fighting her own country, she has before her eyes the sanguinary fate of previous tools of the Soviets.

Her policy of inciting the Poles to rise immediately against the Germans, thus inviting savage reprisals which might be so effective as to prevent any later risings in conjunction with Allied attacks upon Germany when liberation is in sight, is mischievous in the extreme, and is paralleled by the Soviet campaign against the patriotic Yugo-Slav Chetniks under General Mihailovitch, both policies being organized by the "Pan-Slav" organization which has taken the place of the Comintern and revived the old Tsarist slogan, "All Slavonic streams must flow into one Russian sea." In *The Soviet War News* of April 30th, 1943, for instance, Wanda Wasilewska referred to the "suicidal policy of waiting and inaction," while General Mihailovitch is freely called a "traitor" and a "Fascist." The real traitors are, of course, the "Union of Polish Patriots" on the one hand, and the Yugo-Slav Communists on the other.

British foreign policy has not, lately, been strong in general principles and has betrayed a lamentably opportunist attitude to the delicate questions of inter-Allied relationships. But a betrayal of Poland is not only a betrayal of our honour, but of our interests. A strong Poland, a Poland independent of foreign intrigues is essential not only for the peace and security of Eastern and Central Europe, but also for the maintenance of this country's position *vis-à-vis* the continent. The Foreign Office should have made it clear to Russia and the pro-Russian Press in this country that the maximum of assistance to the U.S.S.R. does not mean the abandonment of the Polish alliance, and Wanda Wasilewska and her movement should be repudiated by the Left Wing Press, instead of being applauded. Not for the first nor the last time in the long story of Europe, "the test is Poland." That noble, chivalrous and crucified nation is indeed the symbol of our cause.

British foreign policy has not, lately, been strong in general principles and has betrayed a lamentably opportunist attitude to the delicate questions of inter-Allied relationships. But a betrayal of Poland is not only a betrayal of our honour, but of our interests. A strong Poland, a Poland independent of foreign intrigues is essential not only for the peace and security of Eastern and Central Europe, but also for the maintenance of this country's position *vis-à-vis* the continent. The Foreign Office should have made it clear to Russia and the pro-Russian Press in this country that the maximum of assistance to the U.S.S.R. does not mean the abandonment of the Polish alliance, and Wanda Wasilewska and her movement should be repudiated by the Left Wing Press, instead of being applauded. Not for the first nor the last time in the long story of Europe, "the test is Poland." That noble, chivalrous and crucified nation is indeed the symbol of our cause.

British foreign policy has not, lately, been strong in general principles and has betrayed a lamentably opportunist attitude to the delicate questions of inter-Allied relationships. But a betrayal of Poland is not only a betrayal of our honour, but of our interests. A strong Poland, a Poland independent of foreign intrigues is essential not only for the peace and security of Eastern and Central Europe, but also for the maintenance of this country's position *vis-à-vis* the continent. The Foreign Office should have made it clear to Russia and the pro-Russian Press in this country that the maximum of assistance to the U.S.S.R. does not mean the abandonment of the Polish alliance, and Wanda Wasilewska and her movement should be repudiated by the Left Wing Press, instead of being applauded. Not for the first nor the last time in the long story of Europe, "the test is Poland." That noble, chivalrous and crucified nation is indeed the symbol of our cause.

R. ARNOLD JONES.

Does it Pay to Be Good?

There have been disturbing phases in British propaganda since Mussolini's resignation. It would seem that the Duce, and a few Fascists, alone were responsible for dragging an unwilling people into the war. "And," says the B.B.C. in its broadcasts to Italy, "if the Italians surrender now, Italy will take her place among the honourable nations of Europe." The Italians are given to understand that we quite appreciate their dislike of war and their desire for peace, but they were forced by Fascism into the war. The strike which took place in Turin last March is praised as an anti-Fascist demonstration by the workers of Italy. It was nothing of the kind. They did not like being bombed by the R.A.F., and, worse still, the promised extra pay was not forthcoming. Supposing Hitler resigned, would similar pronouncements go forth to the German people? God forbid.

What about Abyssinia? There was no unwillingness to fight then. And those crowds who howled beneath the Duce's windows for Corsica, Tunis and Nice? Have we forgotten Albania, invaded on Good Friday? Surely a worthy subject for condemnation by the Head of the largest Christian Church, but he was silent, silent even after Warsaw, after Rotterdam, after Belgrade and after Coventry, silent until the bombs fell within earshot of his own abode.

Italy, for the first eight months of the war, profiting by a remnant of the "appeasement" policy which survived in Britain, was able to help her Axis partner more effectively than after she took up arms. Mussolini fell upon a prostrate France, encouraged by the cheers of the Italian people who were eager for booty.

And now that just retribution is falling upon her, Italy is promised that she shall take her place among the honourable nations of Europe. The world looks benevolently upon her. We even read from the Moscow correspondent of the *Daily Express* (27th July) that: "Stalin's policy of non-interference in internal affairs of other States means that the Soviet Union has no objection to a Constitutional Monarchy if the people of a given country really chose such a form of government." (This is fortunate for Great Britain.)

One would like to think that if Great Britain's enemies are to receive such magnanimous treatment, her Allies would be quite certain of their future. But, strangely

enough, this is not so, and those Allies who have been the most faithful and who have fought the longest seem to be the very ones whose future is the less assured.

There are no doubts about the future of the French Empire, though France went back on her word and concluded a separate armistice, leaving her Ally to struggle on alone. Never has a word been uttered about Czechoslovakia's place in Europe. And, as for Russia, who for nearly two years was on the German side, Russia must have everything she wants (provided that it is not a British possession).

But Poland, Poland who was the first to fight; Poland, who stood beside Great Britain in 1940 when she was alone; Poland, who has never had a Quisling, and whose people face death and torture daily, but who fight the Germans without pause; Poland, who has made more sacrifices than any other nation, who has behaved with the greatest forbearance and who has swallowed so many bitter pills in the cause of Allied unity; Poland, whose children are forced to wander over the face of the earth, because not one, but two strong aggressors invaded her; Poland, whose hands are clean and whose cause is crystal clear, for it is the cause of true freedom; is Poland's future certain? No. The issue of her eastern frontiers, lands which are vital to her, are put aside. It is not considered "tactful" to discuss them. It seems that Poland may be asked to make more sacrifices in order to "appease" her neighbour.

So it would seem that Italy, the enemy, is going to take her place among the honourable nations of Europe, while Poland, the faithful Ally, is to be asked to make more sacrifices and to end a war which is victorious for her cause, worse off than when she started. The Soviet Union does not interfere with Italy's internal affairs and "permits" her to have a monarch if she will, but Russia encourages a band of Communists whom she would like to see ruling Poland as puppets under the Soviet.

Does it pay to be good? Not in this world, it seems, and it can be proved by the fact that we are obliged to fight this, the Second World War, because the "good" people were weaker than the "bad." But we should remember the past, which has also proved that it does certainly not pay to be unjust, nor does it pay to be ungrateful.

F. C. ANSTRUTHER.

1) from *The Weekly Review*, August 12, 1943.